

PRZEJAZDZKA
PO CZARNOMORSKICH I AZOWSKICH POBRZEŻACH
tudzież
PO DNEPROWSKIÉM ZAPOROŻU,
ODBYTA W 1857 R. (*).

Często bardzo spotykamy publiczne utyskiwania na brak zupełny w literaturze naszej oryginalnych polskich podróży. Rzeczywiście brak ten dotkliwie uczuć się daje, a powody jego trudne są do wytłumaczenia. Zdawałoby się, iż przy powszechném rodaków naszych w świecie rozproszeniu, ta właśnie gałąź najzasobniej powinna być zasilana; tymczasem pominąwszy dawniejsze, oprócz ciekawego opisu *Araukanii* p. Domejkę, oprócz powabnych listów z zagranicy Padalicy, oprócz wychuchanej a lakonicznej przejażdżki na wschód p. R. hr. Z. i kilku drobniejszych wycieczek po kraju, w peryodycznych pismach rozrzuconych, nic większego nie spotykamy. Lecz wszelki skutek musi mieć naturalne swoje przyczyny. Z jednej strony moglibyśmy prawdziwie obwiniać siebie o brak umiejętności korzystania z każdej losu pozycji, o brak poczucia powinności względem ojczyzny, której dobro i pożytek wszędy przewodniczyć nam winny, i która z każdego punktu, zdobyte ziarno nauki i doświadczenia,

(*) Szacowna ta praca p. Andrzeja Podbereskiego, z której podajemy ustęp, w rękopisem obejmuje trzy tomy z rycinami, planami i widokami.

Przypis, red.

na własną niwę dorzucałaby. Lecz znowu z drugiej, patrząc w oblicze rojącej się migracyi, możemyli więcej wymagać od niej, jak to co uczynić z siebie jest ona w stanie?... Biegną po za granice roje pasożytów bez powołania i nauki; biegną różnego rodzaju artyści, swojemu li tylko oddani przedmiotowi; biegną urojeni specjaliści i racjonaliści zgubnym paralizem serca potrąceni, lub wreszcie ludzie czynu, rozmaitemi przygodami miotani, którzy tworząc sami historią epoki, na nią krwią własną i znojem pracując, zanadto mało mają czasu i spokoju, żeby go beużytecznej poświęcać bazgraniu, bazgraniu, która żadnego bezpośrednio owocu dla nich nie przyniesie. Wszyscy tedy mamy słusność, wszyscy jesteśmy usprawiedliwieni i wszyscy pospołu, na grzech obojętności składamy się! Przyznajmy się, że brak to ducha podniosłego, brak siły zachowawczej, jest tego przyczyną. Pomijając w cieniu marnotrawców i pasożytów, nie masz stanowiska, nie masz stanu i położenia, zkądby silna wola wzbudzona pożytkiem ogółu, wzbudzona wiarą w siebie, nie zmożła wydobyć odpowiednich korzyści. Wojownik rzucony losem między głębokie wąwozy swobodnego Kaukazu; artysta z cichego zakątka swój pracowni; specjalista z szerokiej drogi swych dostrzeżeń; błędny wygnaniec z pośrodku dzikiego plemienia Tunguzów, Buryatów, Indian i Kannibalów, umiejący podnieść się chwilę nad nieszczęście, nad rutynę, nad poziomność codziennego zaprzątnięcia się drobiazgami swój li tylko jednostki, wiele ciekawych, zajmujących, pouczających i pożytecznych przekazałiby ojczyźnie pamiątek. Pamiętać bowiem nam potrzeba, to co ludy politycznie dojrzałe i zagospodarowane nabywają przez mądrze zastosowane wczasy ich swobody i dostatki, nam cierpieć jeszcze skazanym, wszystko przez poświęcenie li tylko zdobywać można. Lecz wymagając od jednych bezwzględnej ofiary i poświęcenia, spójrzmy na ołtarz, na który mają być one składane. Czy uznane, czy przyjęte, czy ofiary równie spożytkowane zostaną??... W téj chwili mamy przed sobą obszerny rękopism w 3ch tomach pod tytułem: „*Przejażdżka po Czarnomorskich i Azowskich Pobrzeżach, tudzież po Dnieprowskiem Zaporozu, odbyta w 1857 r.*”. Jeżeli

autor dokonał to, co z pozycyi swój mógł i uczynić był winien, z drugiej strony pracę swą mozolną, sumienną, najzupełniej bezowocną, a czas i koszta na nią wyłożone, za bezpowrotnie stracone, uznać musiał. Rękopism ten dotąd leży nie drukowany, chociaż winą jego i potępieniem zdaje się być głównie, iż rozmiarem swoim i dokładnością, wyszedł z formy zwyczajnej broszurki, lekkiej, pozorniej, ponętnej dla ogółu, małego przytém nakładu, a wiele rychłej korzyści dla spekulacji przedstawiającej. Lecz czyż dla tego pracownicy myślącej społeczności, wzajem spierając na siebie winy, jedni mamy kruszyć pióra i wyrzekać się powinności, inni poważnej dobrowolnie pozbywać się pracy?... Długo tak być nie może. Obojętność na rzeczy ojczyście, bywa u nas snem chwilowym, letargiem bolesnego udręczenia, lecz nigdy wadą przyrodzoną, ciężkim narostem organizmu, którego wedle przypowieści ukraińskiej, i mogiła nie naprawi.

Chcąc czytelnika naszego poznać z pracą, która nas do powyższych zaprowadziła uwag, przejrzym ją pobieżnie w skróconej treści, dołączając przytém, jeżeli nie ciekawsze, to bliżej nas obchodzące wyjątki, z których czytelnik i autora i utwór jego lepiej wyrozumie.

Jeżelibyśmy mogli wyrokować o pracy niepodlegającej jeszcze publicznemu sądowi, powiedzielibyśmy, iż autor nie krępując siebie żadną formą, żadnemi prawidłami uczonej estetyki, lub cenzury; nie oglądając się bojaźliwie i w prawo i w lewo co się komu podoba, lub nie, poszedł on w opowiadaniu swojém drogą wcale oryginalną. Poeta raczej niż specjalista, drażliwy zatem na ociężały materyalizm i na krępujące więzy obecności, pomija, lub obojętnie potrąca o statystykę, niechętnie tylko przygląda się tworom ręki ludzkiej, lecz chętnie zato wybiega duchem w pustynne przestwory stepowe, podziwia wielkość przyrody, a na tle historycznej przeszłości, rzuca jaskrawe barwy poetycznych wspomnień, lub mozolne domniemanie archeologicznych badaczy jednem cięciem śmiało rozwiązuje. Niezawsze oszczędny w słowie, wpada czasami, można powiedzieć, w drobniawość przedmiotów; lecz nie brakuje mu nigdy świeżości uczucia, nie brakuje mu sił i chęci podniesienia się

do godności przedmiotu; nie braknie trafnych postrzeżeń i nade wszystko szczerzej prawdy, która, miasto zwyczajnej dość u piszących fanfaronady, przesady i samolubstwa, z zupełnem zaparciem się miłości własnej, niekiedy przed czytelnikiem występuje. Wierny obudzonemu raz tchnieniu, szedł on swobodnie po manowcach niezawsze usłanych różami „kłaniając się, jak powiada, nisko uczonym togom i biretom professorskim; starając się wszędy ze starym pogawędzić, z młodym poartować, z uczonym posprzeczać się, z poetą pomarzyć i ze wszystkimi razem na wspólnym cmentarzu ludów, wielkim głosem zapłakać”!...

Takie ogólne zdanie wynieśliśmy o tej pracy, lecz autor najlepiej sam za siebie odpowiadać będzie.

*

Opuszczając z Pobereża Ukrainy cudzą wiejską zagrodę, nie przykuty do niej żadnym węzłem familijnym, wolny od wszelkich zobowiązań społecznych, a goryczą życia napojony, z bajronicznem prawie uczuciem, daje nam zarys swojego odjazdu, który jako próbkę poglądu na przedmioty, tutaj podajemy: „Na wsiadaném, serdeczny mój przyjaciel, bo gdzież ich nie ma, zanucił mi na pożegnanie: *„Iychaw kozak za Dunaj...”* Uśmiechnąłem się smutnie... nie dla dowcipu jednak, nie dla trafnie może zastosowanej kozackiej dumki, ale dla tego, że przedemną nie było już ani dzikiego stepu, ani sicy, ani klasztoru, gdzieby człowiek gwoli podniesionego ducha, mógł zmiatać głowy wrogom, lub korne zanosić modły do Boga. Och! jakże tu ciasno dla bolejącej duszy! Dawne rycerstwo, dawne Zaporozie, dawne modlitwy, dawne obrazy wielkich rozmiarów i wielkich barw, ujęte w łańcuchy pozorniej cywilizacji, zacieśniły się do zmaliałych i nikczemnych wyobrażeń mieszczańskich, do ciasnych ramek powszedniego życia, pogrążonego w drobiazgowej zapobiegliwości, na którym się wylęga spanoszone sybaryctwo.... Ciasno dla duszy, która nie umiając zespolić się z tokiem dojmujących serce wyobrażeń, nie umiając zamknąć się w kółku przez nie zakresłonym, musi błąkać się we wspomnieniach ubiegłej przeszłości, lub potępiona, poniżona, ginąć w chaosie niezrozumianych i nierozumie-

jących wzajemnie myśli i potrzeb. Mijałem ostatnie wiejskie zagrody, gdy te posępne myśli ścisnęły mi nie-pocieszone serce; dopiero wiatr od stepu, to tchnienie roz-ległej swobody, orzeźwiło nieco ducha. Nie była to wszakże pieśń pociechy, lub błogięj ukraińskięj zadumy. Wszystko, jak ludzie, jak myśli, tak i natura dokoła zma-lała. Smutne, tęskne stepy bujnej Ukrainy, po których niegdys biegaly tabuny dzikich koni, lub w nieprzejrza-nych trawach, wypasaly się niezliczone trzody roskoszne-go siwego bydła; po których przebiegaly hordy dzikich najezdzców znacząc ślady swoje białemi kośćmi i pożogą; po których dzikie wilki uganiały rozhukanego stepowca, unoszącego na grzbiecie przyszedłego bohatera i poetę Ukrainy; gdzie wreszcie hufy szlacheckiej młodzieży stały wiecznie czuwając na kresach, pod wodzą swoich dziel-nych i nieśmiertelnych Mohortów—dziś wcale odmienny, niepoznany mają widok. Poorana, poszarpana, stłoczona wszędy rola, leży w smutném obnażeniu z uroczystej swęj zielonej szaty, jako macierzyste łono śmiertelnym powle-czone całunem. Chociaż to było zaledwo w połowie ma-ja, nigdzie śladów plennego jęj życia, nigdzie kwiatu, ani trawki z Bożego zasiewu, bo czego nie wypleniły zgubne plantacye buraków, długo trwająca wiosenna posucha, ciągle wiatry wschodnie, do reszty wypaliły. Zdrobnia-łe, mizerne bydełko, świecąc sterczącemi kośćmi przecha-dzało się po polu, napróżno szukając tam pożywienia, a wy-nędzniałe fabryczne konie, ścisnąwszy się do kupy, stały drżemiąc smutnie powieszawszy nad niedolą głowy, ja-koby lepszego oczekując losu, lub o swobodzie i czci przodków swoich dumając... Plenna więc ukraińska ziemia, po wszem świecie znana, nie starczy już pożywieniem dla najmilszej łona swojego dziatwy! Człowiek zdobył wszyst-ko na korzyść swych namiętności. Nie był to widok smutny, ale prawdziwie cierpieniem i goryczą zaprawny; jakiś brak zgodnej równowagi, jakieś zwycięstwo zła i zapomnienia, gdzie potęgę rozumu na szkodę użyto. Dalej ciągnęły się zielone łany zbożem zasiane. Zapoznane, wzgardzone i wydziedziczone w swęj odwiecznej godno-ści przez buraki, ku którym całą na Ukrainie obrócono troskliwość, smutnie też ono wyglądało. Sucha w do-

datku miniona jesień, małośnieżna zima, niszcząca posucha obecna, zebrały runa zaostrome i pożółkłe w ciasne kupki, gdyby szukając ocalenia we wspólnym zaciszu, nie rokowały pomyślnych rolnikowi nadziei”....

Tak rozczarowanem okiem ujawszy jedną chwilę Ukrainy, w dalszym kierunku dagerotypując każdy spotkany na drodze szczegół, lub miejscowość w historycznej ustawiając panoramie, przesuwając przed nami kolejno wsie i dwory, ich wzajemne stosunki, ich gospodarkę i obyczaje; maluje piękne wieńce ukraińskich gajów; wstępuje do leśnych futorów i pasiek, wyprowadza typowe postacie siwych dziadów z ich głęboką wiarą i poezją. Wstąpiwszy w granicę chersońskiej gubernii, staje na ziemi „Nowej Serbii”. Uderzony widokiem stepu noszącego ślad pierwobytnego jeszcze charakteru, zestawia obraz jego z pejzażem ukraińskim; podaje statystyczną wiadomość odrobiny chersońskich lasów, ważną tu grającą rolę w porządku gospodarskim; skreśla historię pierwotnego tej krainy osiedlenia Serbami, tudzież ich stosunków i załatwień z rzecząpospolitą Polską o granice, i scharakteryzowawszy potem dwoma szerokimi rysami właścicieli ziemskich ukraińskich i chersońskich, jakich miał przed sobą, stanął w jednym z główniejszych miast stepowych, Elizawetgradzie, słynnym w okolicy z jarmarków i handlem. Dalszą podróż do Nikołajowa odbywa autor w dyliżansie żydowskim, otoczony różnoplemiennem towarzystwem miejscowych mieszkańców, którego studjom i przygodom poświęciwszy kilka powieściowych rozdziałów, potrąca historycznym piórem o dawne „Zaporozkie wolności” przez królów polskich na tych miejscach im za wierne służby nadawanych, zatrzymuje się dłuższą chwilę w Nikołajowie.

Zdaje się, iż jednym z główniejszych zadań w tej przejażdżce miał przed sobą autor, zastosowanie do miejscowości opowieści Herodota, którego, nie bez słuszności, za jedyną uważa powagę, i co mu potem posłużyło, jak nadmienia, do osobnych badań o Scytii i Scytach. Punkt tedy połączenia w tém miejscu Bohu z Ingulem, czyli dawnego Hipanisa z Pantikapesem, uważa za najtrudniejszy gordyjski węzeł Herodotowej geografii, nad którym

mozoląc się gabinetowa uczoność, nie zazierając w żywą przyrodę, całe tomy potworzyła sprzecznych z sobą hipotez. W każdym razie miejscowość tutejsza, tak z punktu strategicznego, jako też przynętą dla koczowników obfitością zdrojowej wody, najgłębszej sięga starożytności. Wedle niektórych badaczy, miało tu być zagadkowe miasto Karkinitis, które autor zasuwa nieco dalej pod Cherson do ujścia Ingulca; dalej, skrzętnie śledząc ojczystych pamiątek, wedle tureckiego podania, miały tu być tak nazwane „*Witold Gammani*” czyli Witoldowe łąnie, przydłuższe widać w zagonach jego stanowisko, z kąd rycerstwo litewskie zapuszczało się na łowy w okoliczne stepy i lasy, i dokąd w ostatnich jeszcze czasach, ochotna młodzież polska z nad kresów ukraińskich, odgradzona całym krajem pastwisk tatarskich i zaporozkich, zapuszczała się dośledzać ojczystych pamiątek. Prócz tego miejscowość ta, po nieszczęśliwym rozgromie Szwedów pod Puławą, dała chwilowy przytułek Karolowi XII, który przenocowawszy u tutejszego źródła, wnet następującego dnia, posunawszy się nieco niżej brzegiem Bohu, naciskany wciąż przez ścigającego nieprzyjaciela, rozpoczął przeprawę w ziemie tureckie. Dalej autor skreśliwszy początek założenia Nikołajowa, jego stan obecny i podawszy nam ciekawe szczegóły o gminie katolickiej i kościelném bractwie uorganizowaném z polskich żołnierzy, starannością wojennego kapelana, robi drogą szwedzką, archeologiczną wycieczkę na „Uroczysko sto-mogil” czyli ruiny znakomitęj w starożytności Olbii, słynnej z bogactw i handlu, w której do dziś dnia archeologowie podróżne swoje sakwy, zapełniają posążkami i rozmaitemi pamiątkami, a lud miejscowy zbiera złote monety, wiosenném wezbraniem z gruzów wypłukiwane.

Z Nikołajowa podróżny nasz na najętym wózku zapuszcza się samotnie w głuche stepy, zmierzając do Ocza-kowa. „Jechaliśmy długo, powiada, nie postrzegając najmniejszego śladu pomieszkania, a mały prześladek drogi często ginał nam w gęstych trawach, z których trudno było wypłatać się. Kilka deszczów wiosennych rozrościły tu roślinność do tradycyjnej bujności, jakiej już trudno gdzieindziej spotkać. Straciwszy wszelki rachunek czasu

i rozciągniętości, nie wiedzieliśmy kiedy dojedziemy do jakiego mieszkania. Dawszy tedy wypoczynek znużonym koniom, spieszyliśmy dalej, żeby przynajmniej choć przed nocą z téj pustyni wydobyć się. Głuche tu milczenie zalegało dokoła i dusza swobodnie ulatywała w przestrzeniach wielkiej przyrody; pośród téj jednak pozornej ciszy wrzało głęboko utajone pełne życie plennej, rokosznej natury. Spłoszony turkotem lis z długą kitą odrzuconą, pomykał nam z drogi w głębokie skrywając się burzany, i szare dropie podjąwszy szyje do góry, całemi stadami, lub pojedynczo przebiegały między trawami, jakoby nieznane zwierzęta, które zdala trudno było rozpoznać. Przed nami zrywały się z gwałtownym szumem pstre pardwy, z czarnemi piętnami na białych skrzydłach i wnet głęboko zapadały w trawy; tu zuchwały orzeł stepowy trącając prawie skrzydłami o nasze głowy, ścisnął szponami małego susła, niegodną siebie ofiarę, którą hałasem i kijem wyrwaliśmy od niechybnej śmierci. Zrywały się stadami pierzchliwe kuropatwy, kwiliły nad głowami czule czajki i biegały po drodze niemowlęta przepióreczki, które choćby garścią zgartywać. Ile tu wszędy życia, ile piękności i cudów, ile czułości rodzicielskiej, rozdzierającej serce i szczęśliwego zarazem wesela, zlewającego pociechę! Czajka kihicząc ponad ziemią odwołuje złośliwe oko od swojego gniazodka; delikatny kulon z długim pochylnym ogonkiem, prowadząc drogą dwoje małych piskląt, nie mogących za nim pośpieszyć, aż przysiada z rozpaczą do ziemi, oskrzydlać je szeroko przed nieszczęściem z matczyną troskliwością i poświęceniem. A owe to lotne i świergotliwe jaskółeczki, pieczarniczki, czarne jak murzynki z czerwoną podszyszką, igrając swawolnie z podróżnym, aż pod konie się przemykają, i znowu okrążając chyżym lotem wielkim kręgiem, przeprowadzają go daleko za granice swojego panowania, gdzie inne polotuszki, sąsiadki, podchwytyjąc w czarowne koło swych uciech i zabaw, ich kolej zastępują. Ile tu zgodności, ile harmonii, ile rodzimego zjednoczenia i przymierza, ile wysokiej nauki dla nas odrzutek i morderców téj przyrodzonej społeczności stworzenia!...

Oczaków, dziś licha i zapomniana miejscina, początkiem swoim sięga pierwotnych wypraw słowiańskich dru-

żyn na carogrodzkie ziemie, a w czasie panowania na tych brzegach Turków, łącznie z przeciwnym Kinburnem, był obronnym kluczem, zamykającym ujście dniewrowskiego limanu, przed wycieczkami morskimi Kozaków zaporozskich. Wzięcie jego przez Suwarowa po długim oblężeniu, wśród surowej i głębokiej niezmiernie zimy, znanej u ludu pod imieniem „*Oczakowska zima*,” stanowi epokę wszelkich podań gminnych, do której lud ukraiński zwykle je stosuje. Doprowadziwszy nakoniec dzieje miejscowe do ostatniej chwili, autor stanąwszy o wschodzie słońca na wyniosłym brzegu w punkcie połączenia limanu z morzem, odsłania nam z pod mytycznego mroku, dzieje tego niegdyś klasycznego zakątka. „Przedemną rozścielał się jeden z najpiękniejszych ustępów klasycznej ziemi, święta ustron na scytyjskich brzegach, greckich bogów i homerycznych bohaterów. Przodem, na oddalonym brzegu kinburnskim, gdzie dziś ciemnieją ponure wały zburzonej fortecy, jakoby z morza wydobywające się, i gdzie dalej za piaszczystymi wydłami czernieją w nadbrzeżach szczątki dawnych lasów Hylei, to były święte gaje Hekaty, poświęcone imieniu Achillesa, i przy nich ów *Dromos Achilleos*, gdzie on rudowłosy potomek Scytów, szlachetny rycerz poróżniony z Agamemnonem o swobodę pięknej niewolnicy Chryzeydy, wstąpiwszy w morze Pontyjskie, aby wypocząć po niesnaskach i trudach wojennych, obchodził uroczyscie nocne igrzyska z Heleną, i wprawiał się w bieganie z przyjacielem swoim Patroklem i innymi zacnymi towarzyszami broni. Tutaj u obfitego źródła tryskającego do dziś dnia wśród lecących piasków, było jego mienie, a bogate dokola pastwiska dostarczały na ucztę tych znakomitych gości wojowników, tuczne barany, tuczne woły i wieprze karmne żołądkami, które Homerycznym obyczajem, obnażywszy ze skóry całkowicie na rozłożonych ogniskach spiekali. Tutaj też, na tym samotnym brzegu morza, gorąco błagał matki swęj Thetydy, zacnej córki Jowisza, by skłoniła ojca swego do dania pomocy Trojanom, ażeby tym sposobem Danajowie uczuli potrzebę jego obecności i poczul gniew jego zemsty. Tutaj nakoniec, na tych brzegach poraz ostatni oplakiwał wielkim głosem śmierć swojego przyjaciela, poległego na brzegach

Skamandru, a żalami jego wywołana z głębin morza czuła matka, umocowała go w mężtwie i przyoblekwszy w kosztowną zbroję ukutą przez samego arcymistrza Wulkana, wyprawiła na Trojany szukać zemsty i śmierci, którą mu bogowie przez jej usta objawili. Zwracając ztąd wzrok dalej ku zachodowi, naprzeciw wyniosłego rogu przylądka, „Kara basz,” który wznosi się zdala jako olbrzymia czarna baszta, i u ścieku Berezańskiego limanu, leży samotna, pusta i zapomniana od świata wysepka Berezań. Wyspa to Achillesa, którą odziedziczył po matce swój Thetydzie; na niej spoczywają zakryte wieczną tajemnicą zwłoki półboga i była świątynia jego imienia, w której do późnych czasów wdzięczni potomkowie, składali ofiary na cześć dwóch nieśmiertelnych przyjaciół. Niegdyś, gdy przybywali do niej podróżni żeglarze i ofiarnicy, cień Achillesa ukazywał we śnie sternikom, gdzie mają bezpiecznie zarzucić kotwicę. Oczom przybywających pielgrzymów, wyspa ta przedstawiała widok religijno-tajemniczy; nigdy bowiem ludzka istota nie kalala tego świętego miejsca; mieszkało tylko na niej mnóstwo oswojonych ptaków, a dzikie kozy same przychodziły do rąk pobożnego ofiarnika, dla czynienia z nich ofiary na ołtarzu boga; białe zaś ptastwo podejmując się z powierzchni wody, skrapiało skrzydłami prochy, omywało i oczyszczało świątynię. We wnętrzu jej stał posąg starożytnej roboty i wisiały na ścianach i ołtarzach składane w ofierze kosztowne czasze i rozmaite pierścienie z greckimi i rzymskimi nadpisami w rymowanych wierszach na pochwałę Achillesa. Późniejsi Greków żeglarze, miejsce to nazywali „*Wyspą wiary,*” a słowiańskie i warezkie drużyny wyprawiając się z Dniepru na carogrodzkie łupy, trzymali ją za wskazodróg około niebezpiecznego przylądka dla uniknienia morskiego prądu i stawali tutaj na wypoczynek przed wyprawą na pełne morze.

Tak uczciwszy cienie Achillesa, zwracamy teraz wzrok nasz w lewo ku wschodowi, i tam w dalekiej oddali, gdzie majestatyczny Borysthenes zlewa swe wody ze wspaniałym Hipaniséem, wystaje naprzód ostry „*Semenów-Róg,*” czyli ów Herodotowy „*Przylądek Hipolaja,*” na którym dziś przysłoniona porannym jeszcze mrokiem, wznosi się świątynia Cerery, matki bogów i obfitości. Mą-

dry Anacharsis zwiedziwszy wiele krajów, wszędy okazał wiele mądrości, przejrzał tajemnice nauki, ale przeniewierzył się narodowej wierze i obyczajom. Gdy tedy wracając do ojczyzny, wylądował w Hylei na brzegach swęj rodzinęj ziemi, ubrany w małe posążki i brzękadła, z bębenkiem w ręku, składał tutaj dziękczynne modły i ofiary na ołtarzach bogini. Lecz w tym gorszącym stanie był postrzeżony przez jednego Scytę, który wnet doniósł o tém jego bratu królowi Sauliosowi. Król, surowy przestrzegacz obyczajów narodowych, udawszy się osobiście na miejsce i przekonawszy się na własne oczy o wielkiem zgorszeniu, natychmiast przeszył go bratobójczą strzałą. Wszystkie to są dzieje tego kawałka ziemi, tego pospolitego dziś zakątka rybaczycy osad, którego dawną wiarę, dawne pamiątki, zniweczył robak czasów i zniszczenia, a nad którym tylko przez wieki, co dnia to samo wznosi się wiekuiste jasne słońce, jak dziś ponad mglisty poziom z zatauryczych wydobywając się pustyni...”

Łodzią, z rozpiętym żagielkiem, wśród burzy, z trudnością opierając się prądom limanu, unoszącym w rozrukane fale morskie, gdzie nie ma ratunku, podróżny nasz przebywa szeroki liman, podumać chwilę na świeżych jeszcze całym nieładem zniszczenia i okropnością wojenną dyszących ruinach Kinburna. Traf szczęśliwy zatrzymuje go dni kilka na miejscu: rozpatruje więc pamiątki po Francuzach, zwiedza ich cmentarze, rozpatruje pogruchotane i podruzgotane na drobne szczepki ogromne działa forteczne; zapisuje opowiadania wróconych z niewoli żołnierzy, naocznych świadków całego wypadku, a korzystając jeszcze z pozostałego czasu, zwiedza łodzią dąbrowę Hekaty i wyspę Achillesa, która jak dawnym pielgrzymom, w mytycznym przedstawia się mu świetle. Na tém miejscu z uroku poezyi przechodząc do surowego krytycyzmu, skupia wszystko co o tém miejscu powiedzieli uczeni badacze, zestawia obok siebie ich dowody i sprzeczności i nakoniec opierając się na osobistém rozpoznaniu miejscowości, logicznie swoje wyprowadza wnioski tak o świątyniach, jakoteż o Dromosie i grobowcu Achillesa, — Achillesa, którego przez Scytów spokrewni-

wszy z Litwinami, jako przodkowi swojemu winną tylko cześć oddaje.

Z Kinburna w pomnożoném towarzystwie kilku osób, przebywa całą kinburnską kose, zostawując opis wielce charakterystycznej, jeziorami zaś solnemi zapełnionej tamecznej miejscowości. W rozdziale tój przejażdżki skreśla historią rybołówstwa, które niegdyś na stoły wykwiwintnych rzymskich Lukullów, dostarczało kosztownej ryby kolonialnej, wywołując utysk na zbytki surowego Katona; podaje szczegóły o stepowej gospodarce, o obszarach tamecznych ziemskich własności i nadewszystko ciekawe podaje wiadomości o pierwotném zaprowadzeniu przez Francuza Rouvie w tym kraju hiszpańskich merynosów, które obecnie stanowią główne bogactwo całej południowej Rosyi, wycieśniają stopniowo pielegnowanie stadnin koni, jako piękny zabytek troskliwości czasów więcej rycerskich, lecz który w obec przemysłowych wyobrażeń i popędów wieku, złotemu runu baranów ustąpić musi.

Przejeżdżając kordony nadmorskiej linii, oraz w części stepowej półwyspu, bogate i obszerne wsie rządowe, pòtrącając przytém wszędzie ślady starożytnych zabytków, dojeżdża do Chersonu. Tą razą wśród gwaru jarmarkowego więcej zaprzątiony wyszukaniem pomieszkania, niżeli mogąc o czémś inném pomyśleć, mało miastem zajmuje się i wnet znalazłszy towarzysza, przebywa łodzią pławnie dniewprowskie, staje w starożytnój słowiańskiej mieścinie Oleszy, dziś Aleszkach sławnych kawonami i przesiadłszy tam na pocztę, pędzi kurjerem przez pustynne stopy nogajskich i dziambujlickich niegdyś koczowisk, opanowanych dziś w znacznej części przez wzbogaconych kolonistów menonickich, i przybywa do Perekopu. Na granicy jego kończy pierwszy okres swój przejażdżki, do czego dodawszy w osobnym rozdziale historyczny zarys krymskiego półwyspu od najdawniejszych jego przed-scytyjskich jeszcze dziejów, do ostatnich wypadków; tudzież pomieściwszy w dodatku ciekawy bardzo i charakterystyczny najazd Krim Gereja na Nową Serbią, opisany przez naocznego świadka wyprawy, posła francuzkiego barona de Tolt, oraz poselstwo cara Alexieja do hanów, ciekawe tak ze względu tajnej swój missyi,

jako też opisu niebezpieczeństw podróży w owoczesnych stepach; a nakoniec wiadomość o dzikich koniach stepowych i zaginionych zwierzętach, pierwszy tom podróży zamyka.

Drugi tom jakkolwiek w całej podróży najbardziej jest wypełniony i najrozleglejszym podany studyom, prędziej go jednak przejrzymy. Zajmuje on wyłącznie opis Krymu pod każdym jego względem, a jakkolwiek droga to już bita, przez wielu deptana, rozważana, lub opiewana, autor potrafił znaleźć postronne, nie tknięte jeszcze manowce, po których przechodząc właściwy sobie umiał zachować charakter poglądu i opowiadania. Co mu nadaje wartość zupełnej nowości, to, iż do tysiącami lat nagromadzanych w tym zakątku mogił, pomników i ruin, przybyły jeszcze świeżą ręką cywilizacji XIX wieku naniesione, które ogromem swoim wszystkie inne przykryły.

Perekop starożytne Tafros, turecka niegdyś forteca zamykająca przystęp do półwyspu od stepu, dziś stanowią powiat i zawiera główny zarząd solny. Autor przytęm podaje rys historyczno-statystyczny handlu solnego, sięgając z tego powodu zabawnych stosunków Tatarów z Zaporozżanami, jakie w dobrém ich sąsiedztwie zachodziły. Z Perekopu robi archeologiczną wycieczkę w podługznanego rowu, docierając do karkinityckiej, czyli perekopskiej zatoki i tym sposobem rozpoznawszy dokładnie miejscowość, obala na oślep powtarzane przez wielu uczonych za starożytnymi wskazaniem domniemanie, jakoby równo ten mógł łączyć niegdyś wody Pontu-Euxińskiego z Meotyda, zamieniając tym sposobem taurycki półwysep, na wyspę ze wszech stron wodą oblaną. Od Perekopu powiewa już na nas duch szerokiej biblijnej Azji; ciągną pierwobytnie koczownicze arby i madziary zaprzężone wielbłędami; pomykają dzielni *dzigity* na zwinnych koniach, idąc na wyścigi, lub uzbrojeni arkanami, pędzą przed sobą tabuny kościstych tatarskich klaczy i łosząt w stepach zdziczałe; przesuwają się w suchych pustyniach stepowych rozrzucone ały, bez cienia drzew i zieleni, bez żadnego zagospodarowania, jako chwilowe niby doraźne stanowiska koczowniczego zawsze ludu, którego lada okoliczność, lada przygoda podejmie i z miejsca

sprowadzi; a po nad drogą sterczą wszędy mogilne kamienie z zaciosanemi u góry turbanami spoczywających snem wiecznym mułłów i murzów. Tak przejechawszy część stepową, nastrzępioną wszędzie ruinami opustoszonych wojną aułów i sakli, kilkodniowy spoczynek znajduje w uroczym cieniu nadsalgirskich sadów, z podziwną panoramą na południowe góry, w przejrzystej atmosferze ciepłego nieba, z całą ułudą cudownej perspektywy rysujące się. W punkcie tym znajduje sposobność bliżej przypatrzeć się gospodarce wiejskiej, stosunkom właścicieli miejskich, stanowi i obyczajom tatarskim i podchwytuje na gorącym uczynku dziwny zwyczaj kojarzenia w małżeństwa przesiedlonych do Krymu z oddalonych prowincyj robotników, jaki stan poddański z konieczności dla nich wyrobił. Z nad Salgiru robi wycieczkę do Sak nad słonem jeziorem, słynnych leczebnemi błotami; dojeżdża do Eupatorii, która do starożytniej swęj powagi dodała świeżą kartę zapisaną w ostatniej wojnie, mężną obroną tureckiej załogi pod dowództwem Topielskiego. Rozpatrzywszy się w okolicznych stepach, przejechawszy Symferopol, dawne Nikopolis, obronne miejsce ostatniego na tych krajach scytyjskiego króla dzielnego Palakiosa, przerzyna w poprzek góry i zatrzymuje się na dni kilka w Kuczuk-Lambacie, jedyniej miejscowości, o której wśród nieludzkich Taurów, Skimnes Chioski w czasach przedchrześcijańskich pod imieniem *Lampas* wspomina. Pierwsze wrażenia, cuda natury, uroczą florą, obraz góralek i górali, znajdują tu miejsce.

Nie w tym jednakże kierunku była wykreślona droga przejażdżki w górach. Została ona w dalszym planie podróży, na pociechę niejako po strapieniu, po boleści, którą serce doznać wprzód próbowało. Z Lambatu tedy w powrotnęj drodze zwiedza znaną stalaktytową grootę w Kiziloba, a potem z Symferopola dopiero w zakreślonym kierunku udaje się na Baczysaraj, gdzie sam jeden nocuje w hańskim pałacu przy wieczornym zapiewie mułłów wzywających z wysokich minaretów wiernych wyznawców do modlitwy; obłany łzami fontanny Maryi i pogrążony w zadumę z blizkiego cmentarza hanów, o znikomości mówiącej. Z Baczysaraju przez Duwanę zbacza

na Burluk, opatruje plac bitwy almskiej, opowiada jej rozwój i następstwa; potrąca szmaty rozdartych szat wojowników, oblicza groby i krzyże poległych. Ztąd drogą Francuzów zbliża się do Sewastopola. Stanąwszy na *Siewiernoj* pośród zniszczenia i rosyjskich cmentarzy, zalegających pochyłość góry, zdala przed sobą wymowniejszy jeszcze miał widok. Na przeciwnym brzegu zatoki zarzuconej sterczącymi żebrami poniszczonych parostatków, lub wystającymi z wody krzyżownicami niebotycznych masztów pograżonych w głębi okrętów, na pierwszym planie zniszczenia, oblany purpurą zachodzącego słońca, jakoby krwią oblany wznosił się panujący nad powszechną ruiną, ów piekielnej pamięci Małachów! Okropność obrazu, najzimniejsze serce o rozpacz zdolne przyprawić. Przeczyszczone z gruzów ulice dosłownie brukowane były jeszcze zasypkami kartaczami, kulami rozmaitego kalibru, odłamami i czerepami bomb, granatów, lub rakiet. Nie tracąc jednej chwili, od wschodu słońca do późnego wieczora, konno lub pieszo przechodząc zagląda w każdy zakątek oznaczony wypadkiem, przeziiera miny skrywające jeszcze szczątki zagrzebanych ofiar, rozpatruje pobojuwiska inkermzańskie, nad rzeczką Czarną bałakławskie, zwiedza cmentarze francuzkie, obozowiska angielskie, zbiera podania i całą historią oblężenia na miejscu rozpatrzoną, pamięci czytelnika odświeża.

Okropność tego miejsca, tego wielkiego cmentarza, ma coś pogrążającego, pociągającego do śmierci, do biblijnej podnosząca rozpacz. Z żalem tedy rozstając się z ruinami, przeciągając dalej drogę swoją ku południowi w góry, niechętnie potrąca o pamięć Ifigenii wielkiej ofiarnicy w świątyni Dyany tauropolitańskiej, w miejscu dzisiejszego monasteru św. Jerzego, uzacnionego dziś pobytom francuzkich Sióstr Miłosierdzia; obojętnie wspina się na genueńskie ruiny w Bałakławie i z rozstrojem w duszy zapuszcza się przez opustoszoną sławną Bajdarską dolinę, w górski raj zapomnienia, który stopniowo równowagę uczuć przywraca. Kilkotygodniowy pobyt w górach poznajamia nas w najdrobniejszych szczegółach pejzażu, geologicznego składu gór i miejscowych stosunków. Wtajemnicza w życie górali, znajomi z ich obyczajami i pie-

śniami; kresli nietkniętą przez nikogo, nie ledwo poszczegółowie dla każdej, niezbyt nadobną historią poczęcia, nadobnych tamecznych will magnackich i sam zbłąkany nocą wśród ulewy i piorunów bijących w szczyty Ajudaku, doznaje wrażeń nad przepaścią z koniem zawieszony. Od zachwyty przechodząc do prozaicznego krytycyzmu, z ogólnego pejzażu przyrody do szczegółów przez ludzi dodanych, rozpatruje krytycznie wille i nieuckie prace na nie wyłożone, a w końcu znużony głuchém i monotonném życiem w tój „jamie kwiatami usłanej” z najwyższego szczytu Czatyrdahu o wschodzie słońca, żegna na zawsze wielki pejzaż krymski. Na tym punkcie kończy się drugi okres przejażdżki, a dodawszy do niej statystyczną wiadomość o sadach, tudzież o winogronowych i tytuniowych plantacyach, objętość drugiego tomu zamyka się.

Symferopol z pozycyi swojej środkowej stał się mimowoli punktem operacyjnym tój przejażdżki. Ztąd téż turysta nasz, bądź co bądź postanawia nadać rozleglejszy krąg swój podróży i zapuścić się dalej ku wschodowi półwyspu. Z konia tedy przesiadłszy do tatarskiego furgonu w towarzystwie skupiających się na nowo różnorodnych rozproszonych dawniej społeczności krymskiej, zwiedza starożytną Teodozyą, ową świetną handlem po wszem świecie azyjskim, turecką Kafę, ową wreszcie znakomitą u Allanów *Ardandę* siedmiu bogom poświęconą. Nie długo tu zatrzymując się, pospiesza przez stępy i scytyjskie przekopy, do Kerczu, owój niegdyś Pantykapei, znakomitej bosforskiego państwa stolicy; w krainie wiecznej pomroki u wrót piekieł cymmetryjskich nad Meotyda położonej, uświetnionej po wieki panującym tronem nieśmiertelnej pamięci Mitrydata; zarzuconej na całej przestrzeni olbrzymiemi kurhanami, przechowującemi świetne sarkofagi i grobowce Cymbrów-Makrokefalów o podłużnych głowach; groby scytyjskich bohaterów i Sawromatów królów bosforskich, o których w ogólności przejażdżka ta najciekawsze podaje szczegóły.

Z Kerczu robi wycieczkę parostatkiem przez cieśninę Bosforską na Tamański półwysep między czarnomorskie potomki Zaporozców; wspina się na wulkaniczne wzgórza

błotami i naftą ziejące; przypatruje się ścielącej się za Kubaniem panoramie Kaukazu, dziedzinie plemion niepodległych, wieczną wojną żyjących, ku którym pomimo rozdziału polityki, potomkowie Zaporozża sympatyę i szacunek posiadają. Zostawiony parostatkem, i dwie doby zatrzymany burzą na miejscu, trzeciego dnia pocztą kozacką, na łodzi łamiąc się kilkanaście godzin z falami i prądami cieśniny, wraca napowrót do Kerczu i niebawem przesiadłszy na statek w pomroku mytycznego wieczoru, zostawując w prawo na brzegu okrągłe „*monumentum Satyri*” płomienie wyrzucające, przebywa w podłuż Azowskie morze, przeziiera nadbrzeżne miasta: Mariupol, Berdyańsk, Taganrog, z kąd dalej lądem udaje się do handlowego na Donie Rostowa. Nie tu jednak był ostatni kres ciekawości: zwiedza przyległy ormiański Nachiczewan, a siadłszy na legary, czyli zwyczajne drągi do dźwigania ciężarów w miastach, zapuszcza się w głąb stepów dońskich, zwiedza stannice i stolicę Kozaków Nowo-Czerkask, do antracytowych kopalni w Kruszówce dojeżdża, i poznajamia nas bliżej z miejscowym bytem tych Kozaków, których z nahajką po ulicach widzujemy.

Z Rostowa podróż przyjmuje już kierunek powrotny ku zachodowi, do Ekaterynosławia nad Dnieprem, zbliżając się do Ukrainy, z kąd pierwsze wyjście swoje poczęła. Pocztą jadąc kilkaset wiorst, przerzyna płodnorodny zakąt stepów dońskich, okrytych łanami czarnokłosej arnauty i niezwykle bujną roślinnością, sporemi deszczami zasilanej. Spotykamy tu na oddalonym horyzoncie podniesionego stepu, opiewaną w pieśniach, żyjącą w tradycjach ludu mogiłę „*Sawur*”, niepożyty pomnik sauromackiego na tych stepach bohatera, na siedmdziesiąt wiorst w okolnym promieniu sięgając widokiem. Przebywamy w całej rozciągłości stepy ekaterynosławskie, dziwne pod względem pejzażu i geologicznej swój formacyi; dziwne swojemi tajemniczemi *kamiennymi babami*, owemi potwornemi karytydami stepu, i cudowne w swych plennych nadsamarskich brzegach, w swych bogatych siołach i gajach, każdego poranku na nowy powitalny sonet składające się. Przejeżdżamy Bachmut, Pawłogród, Nowomoskowsk z rozłożonym szeroko jarmarkiem;

głuche pustynie, kraje plennością kwitnące; ubogie kolonie szlachty polskiej; rzeki: Wilcza, Byk, ponuro przez stepy przerzynające, i rozkoszną Samarę mgłą poranną przysłonią, która do Dniepru prowadzi.

Z Ekaterynosławia turysta nasz, rzuca krótszą drogę domową i puszcza się jeszcze Dnieprem w Zaporozński Niż.

Ta część przejażdżki bezpośredni mająca stosunek z naszą historią, najpilniejszemu ulega rozpatrzeniu. Przeprowadziwszy Dniepr przez wszystkie barwy mityczno-historyczne, poczynając od Gerrosu kolebki i grobowiska królów scytyjskich nad Borysthenem ukrytych, do pieśni Bojanowych i krwi słowiańskiej na brzegach jego przelewanej, opowiada szczegółowie jego żeglugę i handel; bada pejzaż i naturę porohów; zwiedza sioła nadbrzeżne i bogate Menonitów kolonie, a postosowawszy Sagę Herodota, z miejscowemi locmanów podaniami, słupy Herkulesa z nad Gibraltaru, w rodzimych nurtach rzeki przed Chortycą ustawia. Lecz na tém zatrzymujemy niedokładne nasze streszczenie tej podróży, i dalszą oryginalną przejażdżkę po Zaporozkim Niżu, w obszerniejszych wyjątkach czytelnikowi podajemy.

* * *

Ostatni jeszcze pozostaje do przebycia okres naszej podróży gawędki. Z Kierkasu do Chersonu mieliśmy do przebycia około 280 wiorst brzegiem mierzonych: przestrzeń to niemała, dość urozmaicona, wiele ciekawa i oryginalna, a płynąc *plytem*, przy najpomysłniejszej żegludze, przynajmniej na dni ośm wystarczająca, zatem, przy dobrym sensie, na cały tomik opowiadania! Ale poczynaliśmy ją w stronie obcej, bezmówniej i z ludźmi obcymi miejscowości, których jedynym zadaniem było wiedzieć nurt rzeki, kędy swoim pływem mają sterować i zawracać... Przejazdżkę więc tę ku wielkiemu, nie wątpimy, zadowoleniu estetycznego i pośpiesznego czytelnika, w ścisłym tylko streszczeniu, opowiedzieć będziemy zmuszeni.

Płyt odwiązany od nadbrzeżnego dębu, cicho, bez żadnego szelestu i krzątania, zdjął się nieznacznie z miej-

sca i popłynął z wodą; flisy uderzywszy *babajkami* nadali prędko właściwy mu kierunek i sami spokojnie pousiadali, jedni łowiąc wędką ryby, inni biorąc się do rozkładania ognia i gotowania kaszy na śniadanie. Było tu ich jedenastu; ja zaś z żydkiem żołnierzem kompletowaliśmy liczbę fatalną, nie wiedząc komu z nas przypada zdradliwa rola Judaszowa. Pomimo powolnego posuwania się potwornej, ociążałej naszej maszyneryi, prędko zmieniała się w poranném oświetleniu malownicza panorama przesuających się widoków, jakoby z umysłu nie dopuszczając je do prozaicznej miary długiego pospolitowania się. Przeciwnie, za Dnieprem Kiczkas, zmieniając front swoich niemieckich domów i wysokich dachów, coraz bardziej zachodził w głąb pejzażu; natomiast białe przed nami słupy Alcydowe, występując z nurtów rzeki, z całym pejzażowym efektem, poprzedzały skalisty kraniec wysokich brzegów Chortycy, służącej tutaj za ciemne tło ogólnego obrazu. Wzieliśmy się lewém ramieniem rzeki, zostawując wkrótce na prawo słupy, i zachodząc dalej w obszerne dość łożysko, zawarte między podniesieniami brzegami wyspy i stepu, zarówno po obu stronach od podnóża swego krzewami i laskami porośłych. W połowie wyspy, na zagłębionej w podłuż brzegu dolinie, odsłoniła się przed nami jedna może z najpiękniejszych kolonij „Chortyca”. Wysokie dachy jęj zabudowań, zaledwo wydobywały się swojemi wierzchołkami, z gęstej zieleni otaczających sadów i wielkiego zacienienia porośłych z przodu lip i osokorów; gdzieniegdzie tylko w krańcowych punktach, na wyższém podniesieniu doliny, wystawały w całej okazałości piękne domy mieszkalne, ozdobne stodoły i chlewy, jakiemi może się tylko pochlubić najlepiej urządzona i zamożna gospodarka. Mieśliśmy już minąć tę kolonię, nie zajrzawszy do jęj wnętrza, gdy nagle przednia część płyty, na której stała mała budka, zadrżała silném potrąceniem..... flisy bezpiecznie sobie baraszkując, zabierali się do kaszy i dali *ziewaka*, płyt samosób idąc, na nic nie zważając, trafił na podwodny kamień i puścił nitami. Rejwach tu powstał ogromny: flisy wnet rzucili się jedni do babajek i machają z całej

siły; inni biegąc z drugiego końca płyty, hyc, hyc, skaczą z kłody na kłodę jak po klawiszach, spieszą, utykają, chwytają liny, rzucają kotwicę do wody, a tymczasem płyt skrzypie, mocuje się, rozrywa więzie, i wkrótce, w niecofnionej kolei zmiennego losu, figurująca z przodu owa mała psia budka, została z tyłu, gdy inna część oderwana, wymknąwszy się na swobodę, płynęła już z przodu żartując sobie pociesznie i z flisów i z psiej budki, na kamieniu smutnie siedząc. Widząc że osobą swoją w tym więcej komicznym, jak rozpaczonym stanie kacapów, zaradzić nie możemy, i że do zupełnego uporządkowania, przynajmniej pół godziny upłynie czasu, obliczyliśmy z moim nominalno przygodnym wiwandierem, żeby tymczasem wysiadłszy na brzeg zaopatrzyć podróżną spiżarnię, o której dotąd nie pomyślałem. Zostawując więc zaprzężonych flisów na środku rzeki, wsiedliśmy do małego kajuku, czyli lipki, i chytym biegiem lotnej czajki puściliśmy się do brzegu. *Lipka* może podjąć trzech ludzi: jestto łódka o ostrych końcach, cienko wydrążona, lekka niezmiernie, szybka w biegu i wywrotna też za najmniejszym przechyleniem, arcydzieło zatem żeglarskie w ręku mistrza, zguba niechybna w ręku nieuckiem. Tajemnica bezpieczeństwa na tém jednak zależy, żeby gdy jeden wiosłuje, drugi siedział spokojnie, wcale dla utrzymania równowagi nie dotykając brzegów łodzi, bo ręka wsparta o jeden brzeg, przechyliła ją na stronę, a chwytając za przeciwny, wnet można rozkołysać do nieomylnego nurka. Z początku, nieświadom, blizki tego byłem na samym środku rzeki, i kąpiel to byłaby zanadto przestronna, lecz wnet pojawiając się przestrożę, szczęśliwie jakoś do brzegu przybiliśmy. Ponad brzegiem rzeki, na parę może sążni nad horyzont wody wzniesionym, szła główna ulica odgrodzona drewnianym z tarcic parkanem, po za którym ciągnął nieprzerwany szereg cienistych sadów i alei. Z téj ulicy do każdego z osobna obejścia kolonisty, prowadziła w głąb prosta i szeroka uliczka, ale tak osklepiona rozrosłymi konarami, iż formowała rodzaj tunelu, w którego zagłębieniu rozwierał się dopiero czysty kwadratowy dziedzińczyk gospodarski; pokryty murawą i zamknięty budowlami. Żaden już widok wiejskiej sadyby małego

rozmiaru, nad ten wygórwać nie może, a patrząc nań z początków uliczki, niby przez lunetę zagłębiającą perspektywę pejzażu, prawdziwie w ułudnym przedstawiała się zacieniu. Nie można patrzeć na te siedliska bez pewnej czci i uszanowania dla ich właścicieli, których zaczęci piersi i pracowitej ręki są dziełem. Najwyżej tylko rozwinięte poczucie i zrozumienie wartości domowego ogniska, do takiej prowadzi gospodarności. Kolonię tę składa szesnastu gospodarzy menonitów. Oprócz niej, na południowym końcu wyspy, jest jeszcze inna niewielka też kolonia „Kancerówka”, a że cała wyspa ma uprawnej ziemi do 3,000 dziesiątyn, pozostała więc ilość od nadziału wypiarzom, obrabiają koloniści z Wielkiej Chortycy, czyli Rozenthalu, na prawym brzegu Dniepru leżący.

W pierwszym obejściu nie zastaliśmy gospodarzy, którzy byli w polu; w drugim pod ich takąż niebytność, jakaś opiekuńcza domowa staruszka, nadzieliła tylko parę funtami świeżego masła, a w trzecim nadaremno pokusiliśmy się o krupy i kartofle, bo nikogo w domu roztworem stojącym znaleźć nie było można. Może jaka płocha dziewczyna, zaoczywszy dwóch wodnych bandytów, zbiegła naprędce w ogródek, lub do sąsiadki. Z tak tedy szczupłym i bez należytego zastosowania ładunkiem pospieszaliśmy do łodzi, bo płyt podreperowawszy swoje więzie, wcale nie czekając na nas popłynął dalej w drogę, tylko teraz z budką z tyłu, bo jemu wszystko było jedno, iść tak, lub owak: jest to bowiem tułów bez głowy i bez ogona, płynie więc na oślep, nie zważając bynajmniej gdzie go los zanieśie. Puściwszy naszą lipkę w pogoń, nie daliśmy mu daleko odsadzić, trafiając z masłem jak raz do uprażonej dobrze kaszy. Była to *Spasówka*; kuchnia więc u starowierców płytników nie wybredna: na obiad kasza pszenna z olejem; na południe znana nam już od locmanów sławna *zupa italijska* z chlebem posolonym i z cebulą od przepychu; na wieczór ditto kaszka pszenna z olejem.... Na wety nieodmiennie kawonek i melonek, oszczędnie rozerzniete na kilkanaście części, a czasami, jako szczególny specyfik na południe, zamiast cienkiej zupy italijskiej, gdy połów udatny, gotowana rybka z solną podlewą, bez wszelkiej

innę przyprawę. Pierwsza kasza tak mi się podobała, iż odtąd nie myśląc już wcale o niemieckich kartoflach, zapisałem się bez ceremonii na stałego uczestnika wspólnego stołu, ale że to byłem dygnitarzem płyty, miałem więc sobie zapewnioną osobną misę z wydrążonego kawału, do której we właściwej porze, każdą razą płytnik kaszowarz, narzucał mi pełno gorącej kaszy, choć z okrutnie doniosłym olejem, ale dobrze uprażonej; ja zaś dodawałem niśkapo masła i nic więcej do życzenia przez dzień cały nie zostawiał!... Żydek tylko prawowierny talmudzysta, utajony widocznie między nami Judasz, trzymał się ustronnie ze swoim lekkim woreczkiem podróżnym, nie przystępując wcale do naszej apostołskiej wspólności.

Takim sposobem pomijaliśmy wreszcie długą wyspę Chortycę, którą daleko jeszcze niska piaszczysta kosa, późniejszej już widocznie napływowej formacji, cała porośła gęstą jak szczeć łożą i kłobowemi wierzbami. W tém też miejscu na lewym brzegu, w pewnej jednak odległości od letniego łożyska rzeki, rozścielała się dość obszerna i zamieszkała z pozoru wieś rządowa Woznesensk, nad którą górą panowały wielkie magazyny zbożowe, nadające zdala tej wsi dostojny widok miasteczka powiatowego z sądownictwem i turmą. Rzetelny cel tych magazynów niewiadomy, bo albo myśl dobrze utajona, albo, co najprawdopodobniej, wcale jej tam nie było. Noszą one nazwisko „Szpiczlerza Centralnego” ale dotąd przez kilka lat swojego istnienia stoją pustkowień, sfinksowem tylko do świata obrócone obliczem. Na nieszczęście bardzo gorąca i nieobliczona wojna, kazała o nich widocznie zapomnieć, bo nie tylko nie skupiono tu żadnych zapasów, ale zostając pod władzą innej gałęzi administracyjnej, nim skończyła się formalna o ich użyciu *perėpiska*, dozwoliły zagnić obok leżącym w kupach sucharom, rogożkami tylko od działania powietrza przykrytym. Inni zaś, nie zapuszczając się głęboko w dyplomację, wnoszą że „Szpiczlerz Centralny” powstał w technieniu błogosławionej myśli Józefa egipskiego ministra, który stojąc w tym punkcie, miał skupywać zboże i w czasie głodu a raczej niedostatku, zaopatrywać taniem zbożem przylegające prowincye: ekaterynosławską, taurycką i chersonską.

Ale na to specjaliści robią uwagę, iż magazyny te mogą pomieścić w sobie zaledwo tylko 35,000 czetwerti, niewielką wcale mogłyby być pomocą, na tak rozległą skalę potrzebowania. Dodają oni przytém, iż urządzenie zasieków jest bardzo niepraktyczne i zboże w nich długo bez zepsucia leżeć nie może; наконец, niepomni że Jakób podwakroć aż z Mezopotamii wysyłał swoich synów łotrzyków do Egiptu, nie chcą żadną miarą wierzyć, ażeby nasz leniwy chłopek, potrzebujący kilka czetwerti zboża, chciał gdzieś z pod Bessarabii, lub Rostowa, szukać w odludnych stepach Woznesieńska, dla dostania tam chleba za tańszą o kilkadziesiąt kopiejek cenę. Słowem, cel ich niezrozumiały, tajemny, jak one same w głuchych stepach zatajone; lecz to tylko niezbitym do nich przywiązany jest pewnikiem, że kosztą budowy przeniosły podwójnie prawie rzetelną ich wartość, i że dotąd najmniejszej nie przyniosłszy posługi, kosztują już rząd do 6,000 rs. na utrzymanie dozorców i coroczne naprawy. My zaś dlatego tylko o nich nadmieniliśmy, że nad zasługi swoje paradnie na pierwszym planie figurują i każdego nieskromnie w oczy uderzają.

Za pośrednictwem rozległych magazynów, Woznesińsk łączy się prawie z lichém bardzo, powiatowém miasteczkiem Aleksandrowskiem. Przedziela je idąca ze stepów rzeczka Moskowka, u ujścia swego podobna bardzo do cichej Dnieprowej zatoki, na której w dalszém zagłębieniu znajdują się dwie przystanie ekaterynosławskich kupców: Zacharina i Łowiagina, dwóch głównych monopolistów handlu drzewem, nie najlepszą w okolicy renomą słynących. W tém miejscu, częś naszego płytku, czyli jeden *tork*, zakupiony przez Łowiagina, oddzielił się i poszedł do przystani z kilku ludźmi, my zaś nie zatrzymując się płynęliśmy dalej. Miasteczko leży o pół wiorsty od brzegu, ale na wiosnę rozlew Dniepru sięga jego podnóża, pochłaniając całe ujście Moskowki. Kwitnie ono obecnie tylko nadzieją przyszłego lepszego losu. Kompania żelaznych kolei zamierzając przeprowadzić od Ekaterynosławia obwodną kolej porożów, naznacza w punkcie tym jej zakończenie i skład przewozowych towarów; zaś kompania żeglugi parowej dla ich przyjmo-

wania, musi tu połączyć swoją przystań, co naturalnie, jeżeli przyjdzie do skutku, znaczne dla mieszkańców obiecuje korzyści.

Minąwszy Chortycę i Aleksandrowsk, postać Dniepru przybiera wcale nowy, odrębny charakter. Dotąd wyraz jego należał zawsze do części porozskiej, a malownicza Chortycza, poprzedzona skałami, ostatecznym niejako stała się piękności jego streszczeniem. Lecz tutaj już wjeżdżamy w granice właściwej Hylei „strony leśnej”, właściwego „Niżu” i w początek sławnych zaporozskich „Ługów” z całą swoją dziką oryginalnością występujących. Dolina Dniepru zawarta dotąd naturalnym łożyskiem, między określającymi ją mniej więcej wzniesionymi brzegami stepów, rozszerza się tu na ogromną przestrzeń ścielących się pławni, pokrytych ciemnym lasem, między którymi koryto rzeki rozdzielając się na liczne przecieki, traci zewnętrzne swoje widoki, zagłębiając się w ciche, samotne i bezludne lasów pustynie. Tutajto, gdzie człowiek jarzma swojego i sieci niewoli rozciągnąć nie może, gdzie panowanie jego jest tylko domniemane, wychyliła się z pod osłony wód i lasów, czarowna przed nami kraina dzikiego ptastwa, żyjącego w bezpieczeństwie i swobodzie, pozdrawiającego nas nową mową, nowym obyczajem. Wszystko tu żyje jakimś świętym, uroczystym spoczynkiem niepokalaną przyrody; sama woda nawet po gwałtownych swoich i burzliwych przejściach przez porozskie granity, wlewając się w tę płytką rozwódź, przyjmuje charakter spokojny, powolny i cichy. Wiatr nie szeleścił, i nigdy gwałtowność huraganów jego nie zburzy do dna poważnego spokoju osłoniętych wód i dzikich cieniów ścielących się wysp, oplecionych giętką łożą, przetkanych i powiązanych bujnemi krzewy, lub rozmaita wodną osoką, kwieciami i trawą. Cicho tedy było w tej tejszej atmosferze; tylko plusk igrającego jesiotra, lub ogromnego suma podskakującego w górę marszczył powierzchnię ciemnych wód, a na całym obszarze rozlegały się niesforne wrzaski rozmaitego ptastwa, poważnie zagajającego swoje rozprawy, lub z pociechą nowych przybyszy witającego. Zbliżając się ku wieczorowi, w wiadomych tylko sobie celach, przeciągały z miejsca

na miejsce interesowane żórawie; leciały gęsi, czarne bakłany i ociężałe czaple powolnym szybowaty lotem; a na piaszczystych zamięłach poprzedzających wyspy, siedzi nadęta postać milczącego orła, obok którego secinami spoczywają ogromne białe baby-pelikany, drzemiąc bezpiecznie pospuszczawszy głowy, gdy inne syte po dziennych łowach, pompatycznie przechadzają się z nadętymi nosami, niedbając wcale na nasze dziecinne postrachy i klaskania.

Dniepr wlewając się w pławnie, jakkolwiek często skrywa z horyzontu widoki stepu, zwykle jednak główny nurt jego trzyma się prawego brzegu, gdy przeciwnie, lewy stale jest zakryty w nieobejrzaną przestrzeń rozesłanych pławni. Podnoże odsłoniętego brzegu zwykle bywa pokryte krzewistymi poroślami lasowymi, a w zagłębieniach jarów widnieją przerzedzone dębowe gaje, znikome może świadki dawniej Hylei i świętych gajów scytyjskiego Gerrosu, którego niepożytemi pomnikami widnieją na horyzoncie oddalonych stepów, rozrzucone zrzadka wielkie mogiły. Pierwsza wiosieczka przesunęła się w naszej panoramie Razumowka, właściciela Miłkaszewskiego; za nią potem wychyliła się przed nami wieczorem wieś Bileńka tegoż właściciela, w której zgrabna bieleje cerkiewka; piękne przytém zabudowania murowane dworne i murowana gorzelnia, ocienione starannie drzewami, dobrze rekomendowały rządność wiejskiego gospodarza, nie obcą widocznie wpływom blizkiego sąsiedztwa kolonistów.

Płyt nasz, jakkolwiek cichy z pozoru i potulny, niełaczno jednak powodujący się babajkom, idąc zawsze uparcie za nurtem rzeki, minąwszy Bileńkę, przeszedł sobie na drugą stronę i wstrzymał się na przeciwległym brzegu pławni. Brzeg to był dziki, obrywisty, obnażający całe wnętrze napływowej warstwy piaszczystego czarnoziemiu, przemieszanego z mnóstwem roślinnych korzeni, sterczących i nastrzępionych, zwieszonych ku wodzie, lub wcale przegniłych i walających się do czasu. Przy letniem poziomie horyzontu wody, często brzegi takowe podmywane u spodu nurtami, obrywają się z wielkim łoskotem upadając w wodę, a rzeka idąc między niemi, przybiera chara-

kter niezmiernie dziki i ponury. W wodzie z brzegu leżały poobrywane wiosenną powodzią z całemi korzeniami gałęziste wierzby, mokły giętkie łoży, lub białemi żebrami obnażone z kory, sterczały martwe karcze i pnie obalonych osokorów. Pobrzeża porzniete licznemi wyżłobieniami wiosennych przecieków i jam, dotąd zatrzymujących wilgoć i wodę, porastały gęstą łożą, dziką osoką, krzewiącemi się łożakami, malinami, lub splecioną w nieprzebytą gąszcz ożyną, z pomiędzy których szeroko rozgałęziające się wierzby i osokory, a rzadko kiedy młody brzostek, lub inne jakie drzewko mszystej natury, przysłane zasiewnem ziarnkiem w podarku na Niż z dalekich stron Ukrainy i Białorusi, stanowiły naturę pławniowej roślinności. W ogólności wierzba pospolita, osokory i łoża, panującemi są na pławniach; wzięły ich bowiem i sypki grunt bez cementu ilowatego, zdolny tylko rozmnażać rodzaje topolowe, gdy przeciwnie, wyspy górne, więcej zsiadłe, i inne też niekiedy przyjmują zasiewy. Lasy te jednak obficie dostarczają okolicznym mieszkańcom materiału opałowego, tudzież na wyborne płoty i na lekką nawet wiejską budowę, ale pławnie zatrzymując zawsze mniej więcej wilgoci, lub w czasie posuchy gęstemi zraszane rosami, i inne jeszcze w miejscowej gospodarce przynoszą dogodności. Po opadnięciu wód, mieszkańcy w jamach z łatwością zabierają wielką ilość pozostałej ryby, a nakoniec pławnie mając odsłonięte polany i całe obszerne ługi porośnięte bujnemi trawami, dostarczają obfite zbiory siana na zimę i zawsze zieleniejące pastwiska wśród największej letniej posuchy i upałów, wypalających niekiedy całkowicie na popiół nagie stopy okoliczne.

Zahamowawszy tedy płyt za pomocą grubego drąga, zatknętego na brzegu, który ciągniony oporną siłą, długą i głęboką w ziemi przeorał bródę, zaraz wzięto się do gotowania wieczery. Wieczór już zachodził w cienie nocy; na płycie rozłożone ognisko oświecało w półcieniach brodate postacie krzątających się rozkolników, a dokoła, z utajonych zakrętów rzeki i z pomiędzy łoż, poczęły wychylać się pojedyncze łodzie, cicho przemyskające mimo nas z kosarzami wracającymi z ługów, jakoby z nocnymi piratami puszczającymi się na łupy i pożogi. W powie-

trzu rozlegał się jakiś dźwięczny koszmarny miryadami igrających komarów, ponad który dolatywał niekiedy z głębi lasu, złowieszczy krzyk sowy, budzący ze snu spłoszonego zającą; czasem czapla spędzona z błotnego legowiska, późno jeszcze przeciągała nad głowami lecąc na obłęd nocy, lub też uganiana za komarami ryba, niosąc śmierć innym, padała ofiarą własnej nieostrożności, zastrzegając między kłódami płyty, gdzie ją wzajemnie chwytala mordercza ręka człowieka. Po jakimś dopiero czasie, opóźniający się księżyc zaczął się wychylać ponad wierzchołki pławniowych lasów, oświecając jednym równym blaskiem, ten posępno malowniczy, pomierzchły pejzaż dniewowej Hylei, osłonięty mrokiem mitycznej Herodotowej sagi i urokiem tajemniczój zaległych wieków przeszłości.

Owa psia budka służyła mi za nocne legowisko; rozszawszy wojłok na podmoszczonych deskach, można było w niej wygodnie wyciągnąć się między kawonami i zawalonami bochenkami chleba, ale siedzieć w niej trzeba było tylko z przodu przed otworem i to ugiąwszy karku, bo wysokość nie starczyła. Towarzysze zaś moi, ponieważ brzeg był zarosły i nieczysty, jedni rozesłali sobie legowisko na kłodach, inni zalegli z wierzchu budki, lub w okolo niej na deskach, gdzie komu myśl przypadła. Długi czas nam okrutnie dokuczały komary, wszelkimi szczelinami skupiające się do budki, których utrapionój natarczywości podkurzanie nawet tytoniem, niewiele przeskadzało. Szczęściem, że ta prawdziwa plaga Niżowa, miewa swoje peryody: napastując tylko z wieczora i o pierwszym brzasku, folguje nieco w dzień skrywając się przed słońcem, a o północy przed rzeźwiejszą rosą. Przededniem podniosła się z wody gęsta mgła, surową przenikającą wilgocią; lecz o wschodzie słońca szybko usuwała się w lasy przed jego promieniami, odsłaniając przed nami najpiękniejszy poranek, świeżo skąpany w srebrzystej i orzeźwiającej rosie, gęstemi brylantami po liściach drzew i kielichach kwiatów rozsypanej. Płyt nasz bez głowy i serca, aczkolwiek obojętny na przyrodę, ruszywszy tą razą cicho z miejsca spoczynku, w uroczystém milczeniu szedł pustynną okolicą, odsłaniającą zwykle po lewój stro-

nie widok, na ponure, czarne obrywy pławniowych brzegów, lub w przemienną swą panoramie, wynurzając na widok z głębi wód, malownicze wyspy oblamowane szeroko żółtym rąbkim piaszczystych odmiałów. Tutaj dopiero rozpoczął się nieskończony howór porannego przyrodzenia: wszystko witało słońce z radośnym śpiewem porannej modlitwy, lub niesfornym wrzaskiem do dziennych zabierając się trudów i trosk o byt swój doczesny. W tęto zamieszkałą rzeczypospolitą ptasię, wszystkie ich stany i rodzaje zbierały się pospołu do ogólnej modlitwy, chwały i narady. Ruch tu niezwykajny, krzątanie się powszechne i zajęcia rozmaite. Na piaszczystych gładkich ławach, czysto rzeczna wodą splukanych, w zacięniu malowniczych gajów wierzbowych z powisłemi konarami, i nad lustralną przestrzenią szerokich wód wielkiego Borysthenu, siedziały gromadnie, ich pomieszane, różnorodne stada, z pewnemi jednak na ławicy podziałami. Niektóre gatunki ptastwa, nie łącząc się z innemi, osobno wyłączne jakoby dziedziczyły ostrowy, na obce tylko brzegi nieśmiało i jakby przez ciekawość opodal zalatując. Lecz w powszechnych zgromadzeniach, na pierwszym planie figurowały zawsze stare, tłuste baby—urodzone *pelicanus onocratalus*, niezmiernie poważne, szanowane przez wszystkich i całkowicie w bieli ubrane. Kiedy jedne z nich na wpół senne jeszcze siedziały, drzemiąc obok kilku szarych orłów, przechadzających się niezgrabnie spętanym krokiem, lub z ostrym wrzaskiem drapieżnych tyranów, podskakujących wzajem do siebie; inne tymczasem ociężałym swym lotem przeciągały milczkiem ponad głowami w poprzek wód, nie dając na nikogo baczenia, lub wreszcie wypłynąwszy już umowną gromadką na łowy, друżnie zajmąwszy pewne kółko, machały czynnie skrzydłami spędzając w odmiałach ryby do kupy, które potem żarłocznie chwytaly. Między białemi babami, mieszały się w najlepszej harmonii, pobratymcze im w łacinie, lecz czarne zupełnie bakłany, *pelicanus carbo*, podobne wielce do indyjskich kaczorów, za któremi w osobnym zgromadzeniu spoczywały stada dzikich szarytek gęsi, w blizkiem sąsiedztwie niezmiernie gadatliwych i rozmównych różnoplemiennych kaczek-plotkarek, nikomu spokoju nie dają-

cych. Małe krasno-nogie kuliki, wielkie na długich szczudłach i z długimi nosami kulony, malutkie ostro-nose bekasy i kształtne pławno-lotne białe rybitwy, wszystkie zgodnie z sobą siedząc, lub stojąc biesiadowały. Lecz w powietrzu, pod niebem, jakież to rozlegał się dokoła chaos, jaka muzyka i gra skrzydlatego państwa!.. W rozmaitych punktach przestrzeni, jak szerokie pławnie i ostrowy, jak głos tylko dolecieć może a ucho dosięga, na rozmaite tony odzywały się skryte w tajemniczych błotach czujne żurawie, gdy inne przelatując górą ponad wody i lasy, wyciągnawszy szyję garlanili w powietrzu, wyzywając z nocnego obozowiska, do dalszego w kraje dalekie polotu. Chyżolotne też rybołowy szybując nad wodą z krzykiem i błyskawicy piorunem uderzały śmiertelnie ryby, wyskakujące chwilę tylko na powietrzu odetchnąć, lub w nieznany świat im zajrzeć; wrony wrzaskliwe, głupie a chytne; bakłany milczące; czarne kruki złowrogie, śmierć i rabunek wieszczące, krzyżowały się w powietrzu hałasując i szeleszcząc skrzydłami, gdy tymczasem sroczka skrzekotka z chytnym ogonem, przelatując w gościnę z wyspy na wyspę, witała na dobrydzień skrzeczącą też w krzakach radośną swą sąsiadkę. Lecz oto pod niebem wysoko, rozległ się ostry świst orła, srogiego pana i tyra na tych krain, i wszystko jakby oniemiało na chwilę zgrozą przejęte... milczenie i postrach zaległy piersi zgrozą przejęte, zatamowały technienie biednego stworzenia, tylko kruk zuchwał krzaka z urąganiem i grubych nerwów trzy baby senatorki, powoli machając skrzydłami lecą niezachwianie, nisko przeciągając ponad płytą, w wiadomym im tylko kierunku i celu.... Płyt nasz z rozłożonem ogniskiem kłębiąc w górę błękitnym dymem, siedł wśród tej żyjącej przyrody, jakoby wznosząc ofiarne kadzidła wspólnemu bóstwu, które rogiem obfitości szczodrobliwą swą ręką i skrzydłem świętej swą opieki, wszelki żywioł tu osłoniło.

Płynęliśmy wciąż szerokimi rozlewami wód, rozgałęziającami się na liczne przecieki między wyspami, niewiedząc czasem właściwego nurtu, którego przytrzymać się wypadało. Nigdzie nie spotykaliśmy mieszkania ludzkiego, tylko niekiedy stała na brzegu w liściach skry-

ta rybacka jurta, koło której przesuszały się rozwieszone na kółkach sieci i na sznurach wędziła się drobna ryba przed słońcem. Wkrótce jednak okazała się przed nami na oddalonym brzegu wieś Tarasówka, a rozlegający się w przestworzach głos dalekiego dzwonu, zwiastował nam uroczystość *Spasa*, patrona dnia tego. Wieś rozesłana na podniesionej płaszczyźnie nadbrzeżnej, ginęła całkowicie w cieniu drzew, ale z przodu poprzedzała ją wielka murywana budowla z wysokim kominem fabrycznym, pięknie odbijając na ciemnym tle sadów i kłębów. Ponieważ płył miał przechodzić w pobliżu, wsiadłszy tedy z żołnierzem w łódkę, popędziliśmy na brzeg w nadziei zaopatrzenia się na dalszą podróż, przynajmniej owocami, które dziś ku powszechnemu pożytkowi dla ludu święcono. Było już po nabożeństwie i kraśne dziewy, małopolskich wdzięków dziedniczki, siedząc na brzegu nad sinemi wodami, nuciły pieśni ojczyste, przelewając serc swoich troski i nadzieje. Romantycznie tu było: wiwandyer więc jeden poszedł w głąb wsi, jam został na brzegu, łodzi pilnować. Znajomość też prędką, bo bez fanaberyi, wnet: a z kądem, a dokąd, a czego?... ciekawe nieobłudnie po kobiecemu, rozmowne przytęm i trzeźwego umysłu a serca śmiałego, przy szkole fabrycznej poduczone.... Więc też Kupido naprędcę wszystko już pięknie układał: gotowe płynąć ze mną na swobodę, a jam gotów na seryo, na prawdę wszystkie je z sobą zabrać, bo hoże i dla serca pocieszne... Na nieszczęście, przybyły Prokrust ducha udęcyciel, w postaci wiwandjera obładowanego kawonami bez względu kazał pośpieszać na płyt z oczu już nam znikający.

Wieś Tarasówka zasiedlona Małorusami i Wielkorusami, ludem właściwie fabrycznym; jako więc nie wedle dowolności rozmaitej fantazyi ludowej, ale wedle pewnej formy poczęta, systematycznie jest we dwa rzędy ustawiona z zagłębionym pośrodku w perspektywie dworem przysłoniętym sadem i alejami. W ogólności roślinność drzew tu bardzo bujna, ręki troskliwej koło niej wiele, i wiejski pejzaż uposażony należycie. Rolnictwo tu jednak rzecz podrzędna i plonów jego nie wiele. Fabryka sukienna dostarcza wyroby swoje głównie dla wojska. Na-

leży do generała Strukowa, tego samego, który w połtawskiej gubernii prowadzi znaczne plantacje tytoniowe.

Wróciwszy na płyt, że już słońce dobrze dopiekało, więc zaraz do budki i usiadłszy w wiadomej pozycji z przodu, wydrążyłem sobie kawon, przygotowując nową misę do dochodzącej już kaszy. Trzeba przytém wiedzieć, że budka nasza była jeszcze rodzajem świętego ołtarza, którego ja mieszkaniem, stałem się przygodnie żywotwornem wcieleniem. Z przyczółka jej o listwę opartych, stało rzędem kilkanaście mosiężnych obrazków i posążków, przed którymi wybijano pokłony. Zabierając się tedy do jedzenia, przystąpił naprzód jeden pokłonnik, począł żegnać się i kłaniać z rozmachem: za nim podchodzi drugi: „ech ty brat Wasia, módl się dobrze, a to jak koń kiwasz tylko głową, aż grzywę na oczy rzucasz” i sam zaczął żegnać się, stanąwszy obok. Za temi zbliżyli się inni i stanąwszy rzędem przed budką, poczęli swoją modlitwę z pokłonami do ziemi. Nie wiedziałem co robić: ja niegodny grzesznik ziemski bez pretensyi na syna Jowiszowego, uląkłem się prawdziwie téj czci przed ołtarzem moim składanej, więc sunę z kawonem z budki między nogi płytnikom i stanąłem na płycie. Po skończonej modlitwie niemniej gorliwie wzięto się do obiadu, ale dzięki staranności niektórych płytników, na uczczenie uroczystości dnia tego, do zwyczajnej kaszy z olejem przybył potężny garnek ryby, a z mojej strony kwarta wódki dla konkokcyi... Uraczeni więc byliśmy do zadowolenia. Po obiedzie dla ochłody i ku lepszej widocznie strawności: „a nu *rebiata* pokąpać się!” Zaraz koszule precz, spodnie z siebie i hop, hop, jeden po drugim zaczęli skakać w środek Dniepru. Pływają igrają, śmieją się; atletycznej postawy młody Mikołaj cudów dokazuje: przewraca się jak łosoś, nurkuje do dna jak delfin, bryzga wodą jak Tryton. Widzę, że już i Judasz najadłszy się ogórków i cebuli, zrzuca pludry za kompanią, a to i woda lustralna i mnie nie wiele zostawało do nagości, więc téż nie zważając na żadne hygieniczne przepisy, przeżegnałszy się, ho-hop! do wody.

Tymczasem płyt nasz powoli idąc, cicho, milczkiem, szedł, szedł i całą swoją masą, zasunął się na mieliznę!

Tu dopiero zmienia się scena: brodacze nadzy wyskakują z wody i co prędzej po czterech do babajek: mach, mach, kitul, kitul, jeden przed drugim wysilają się, ale to nie pomaga: płyt ani rusz z miejsca. Zaraz tedy zbierają kotwicę na łódź, zarzucają w górze i wyteżając ostatnich sił, odciągają go za pomocą liny; wszystko to odbywa się posilkując krzykiem, dobitnymi gestami, z nieoszczędną zaprawą zelżywych słów i obelg. Sceny takowe ludzi zupełnie nagich, lub w sinych tylko *rubachach* naprędce narzuconych, atletycznej postawy, brodatych i zarosłych, na pustynnym tle dniewrowego pejzażu, w pośród szerokich wód, odludnych wysp i lasów układały się w malownicze prawdziwie obrazki pierwotnych słowiańskich druzyn pod wodzą waragskich zdobywców, od których ci późni potomkowie, ani uobyczajaniem ani pojęciami, nie wyróżnili się wcale. Z początku więc długo mię bawiło to nowe towarzystwo wpółdzikich lasowych ludzi, ale wkrótce prostota natury przez wszystkie zmysły, zbyt cznie poczęła się przelewać. Lud to wprowadzie był uczciwy i prawowity; cudzego nie ruszają, łotrzyków wydają. W liczbie jedenastu, trzech było podejrzanych, którzy z częścią płyty w Aleksandrowsku pozostali; tych oni mieli zawsze w pewnej pogardzie, trzymali zawsze na oku i w ustroniu od moich rzeczy, które tamtym widocznie oskome niekiedy sprawiały. Ale trzeba powiedzieć, lud to grubiański wcale, obelżywy i zwierzęcych obyczajów. Dla najlichszego *blahorodija*, choćby takiego nawet jak ja, uniżona posłusznosc; na każde zapotrzebowanie, na każde skinienie: „z istinnym pocztieniem, z bolszym udowolstwijem, oczeń prijatnos”... bieży, robi, podaje. Ale jest to próżna gadanina, słowa czcze bez serdecznego tchnienia, machinalne poruszenia niewolniczego automatu, obawą, nałogiem, formą, lub nadzieją nagrody galwanizowanego. Dla *blahorodija*, niewolnika służebnosc ta się podoba, do zachwycenia prowadzi, mnie prędko poczęła nudzić i chętnie jęj unikałem. Bo te same serca i usta pokory we wzajemnych z sobą stosunkach, w żartach, w dowcipkowaniu, w powitaniu, pożegnaniu, w radzie i naganie, wszędy i nieustawnie bluźnią obelgą, nie mają miary i okolicznosci słów zelżywych i wszetecz-

nych. Stanowią oni zupełną w tém sprzeczność z Małorusami, którzy oszczędni w słowie, poważni w ruchach, dumni i niechętni w posłudze, lub dopełniają ją ochotném tylko sercem; u których największe łajanie przechodzi intonacją swoją w komizm, a w żarcie i rozmowie grube nawet słowa użyte bywają z pewną oględnością, z pewném poczuciem nieprzyzwoitości, lub uszlachetnione że powiem, wdziękiem lakonizmu, dowcipu i humoru. Piérwsi azyatyckim tchnieni obyczajem, z towarzystwa swojego wyłączają kobiety; na drugich widocznie leży wpływ zbliżonych z nią moralnych stosunków; zacny ton ludowego uobyczajenia, wpływ téż historycznej dumy, lub miłosnej pieśni, nieustannie w ustach ich brzmiący. Takie uczucia obudzili we mnie moi towarzysze w kilkodniowém naszym zetknięciu, nie mając zresztą osobiście nic im zarzucić. Piérwsza honorowa i hojna moja na łodzi wyprawa z nimi na Chortycę, od razu zjednała mi zaszczyt *blahorodija*, a że *blahorodje* siedzące na łapach w budce i jedzące wspólnie kaszę ze śmierdzącym olejem, mogłoby czasem spospolitować się na zwyczajnego *prikaszczyka*, co prędyż więc starałem się przywłaszczyć sobie, nigdy nie przyćmiony blask czynownika. Droga tą bowiem jeżdżą tylko *prikaszczyki*, rzadko sami kupcy i czynownicy, których zły duch w najciaśniejszym świata śwędzi zakątku. Na całym pobrzeżu dniewrowskim innych podróżnych tu nie rozumieją, a chcąc wyłożyć im rzecz nad pojęcie, można bardzo skrzywić swoją pozycyą w najniedorzeczniejsze podając siebie podejrzenia. Trzeba więc było łąć, bo u nas na tém tylko utrzymać się można; łąć i płacić, a łąć tą razą było łatwo, bo przypadający szczęśliwym losem kolejno żołnierz do posługi, dodawał mi wiele efektu. Lecz że to i *blahorodije* w czynowniczym nawet obrazie, gadające któż wie jakim łamanym językiem, mogłoby jeszcze zdradzić utajonego intruza, więc ostatecznie i głośno zostałem obywatelem kijowskiej gubernii, Polakiem, członkiem uczonój kommissyi archeograficznej, komenderowanym przez generał-gubernatora! do zbadania i opisanja dniewrowskiej żeglugi etc. Pozycya ta tak była świetna i obostrzona, trzymanie się moje tak poważne, oprócz przesiadywania w budce, iż nic już

jój zachwiać nie mogło i nietylko jednało powszechne na płycie korne poszanowanie, ale nawet w każdym razie dozwalało mi zabierać głos rozjemcy i moralisty.

Rebiata częstego dawali *ziewaka* i płyt po razy kilka tego dnia, to osiadał na mieliznie, to na stérczące w wodzie trafiał karcze, lub formalnego dawał nosem stérczaka, ryjąc końcem w brzeg i zwyczajnego obracając młynka. Między nimi nie było steru: młody, piśmienny *zdawczyk* był niby główny przywódzca, ale ten ani miał dość powagi, żeby innym posłuszeństwo nakazać, ani też dość doznanej roztropności i pilności, żeby dla innych wzorowym służyć przykładem. Słowem, anarchia ta kosztowała każdodziennie kilka godzin przynajmniej straty i co niemiara wzajemnych obelg i trudów.



PRZEJAZDZKA
PO CZARNOMORSKICH I AZOWSKICH POBRZEŻACH
tudzież
PO DNEPROWSKIÉM ZAPOROŻU,

ODBYTA W 1857 R.

II.

Nizowe łożysko Dniepru, chociaż wolne od podwodnych kamieni, ma jednak inne ważne przeszkody dla swobodnej żeglugi: wiosenny wylew wody obrywając pławniowe brzegi, zatapia pośrodku rzeki wiele całkowitych z konarami drzew wyrwanych z korzenia, które na samym prądzie hamują przejście. Rząd zwrócił na to uwagę i polecił z *podradu* oczyścić. Jak zwykle przedsiębiorczy żydek podjął się roboty, lecz oczyszczając skrupulatnie łożysko z dawnych karczów, pomijał te, które woda świeżo naniosła, po zawarciu z nim umowy; nadto, obliczywszy przytém, po lepszym rzeczy wyrozumieniu, że łatwiej będzie spiłować im tylko wierzchołki, niżeli całkowicie z wody wydobywać, wiele bardzo sprzątnął tylko powierzchownie, tém zdrażliwiej zachowując skryte na dnie dla płytów i barek niebezpieczeństwo. Mielśmy tego sami oczywiste dowody, razy kilka dostawszy się między rogatę rafy; lecz jeżeli za to złorzeczenie płytników dosięgnie żyda, nie można mu powinszować, że na dnie piekieł zgrzytać będzie zębami.

Pominąwszy Tarasówkę, Dniepr znowu rozdzielając się na liczne koryta, głównym nurtem swoim idzie środkiem pławni, tracąc z widoku oba już zarówno stepowe brzegi, które w oddaleniu tylko czasami wychylają się z pomiędzy wysp swojemi wierzchołkami. P. Czuzbiński wylicza na nich ciągnące szeregiem wsie i chutory, podając ich szczegółowy rysopis, z którego w ostatecznem streszczeniu okazuje się, iż gospodarka ich opiera się na rolnictwie, hodowli owiec i bydła; że rybołówstwo na niskim bardzo stopniu, i z małemi wyjątkami, nędza u poddanych wielka, zaniedbanie i ciemnota, u pomniejszych mianowicie właścicieli, zupełne. Pomędzy temi jednakże na lewym brzegu, poczynając od Aleksandrowska, wskazuje kilka włości wz rowych z dostatku i rządności, mianowicie: Nikołajówka i Bałobina hr. Strogonowej; dalej nad stepowym przyciekim zwanym Osietrówka, inaczej Kuszuhum, wsie Wielki i Mały Kuszuhum, inaczej Katerinówka hr. Kankrinów, za któremi nad rzeczką Konką, tychże samych właścicieli, główna wieś i fundum Konska, inaczej Hryhorjewka, ze wspaniałym dworem, gdzie połączone są razem rozumowana gospodarka, dostatek, oświata i prostota obyczaju; gdzie zarówno przybyłego w paradnej karrecie, lub na chłopskiej ubogiej teledze, spotyka szczerę przyjęcie, wszelka wygoda i zawsze przyjemna, oświecona biesiada. Za Korską, nad pławniami doliny Konki, jeszcze znajduje się jedna wieś Kankrynów Podstępna; a dalej, w tauryckiej już gubernii, wieś Janczokrak, przy ujściu do Konki wąwozu tegoż nazwiska, i Wasiliewka, obie młodego właściciela Popowa, który posiadając we władaniu swoim 16,000 dziesiątyn pławni, korzysta z miejscowości i rozprowadza na nich rozumowane, zasiewne leśnictwo. Za Wasiliewką, téż właściciela wieś Skielka (Skalka) a niżej, zawsze to ponad doliną Konki, mała i nędzna wioszczyzna Majaczki Hornobarskiego i druga takąż sama, należąca do Brodzkiego, tém sławna, że na wysokim swoim krętym nad rzeczką brzegu, posiada dotąd „kamienną babę”. Za temi lichotami wielka rządowa wieś Białki, zasiedlona Małorussami; lud tu przemyślny, dostatni, a w bliskim zostając z menonitami zetknięciu, stopniowo ulega zbawiennemu ich wpływowi:

zaprowadzają u siebie niemieckie wozy, stawiają ulepszone młyny i wiatraki, a nawet w zabudowaniu naśladować ich starają się. Za Bałkanem dwie niewielkie wioseczki należące do Iwanenki: Bulbatki i zalecająca się lepszym dostatkim i porządniejszym zabudowaniem w. Błahowieszczeńsk, w której nad Konką znajdują się dwie drzewne przystanie Łowiagina i Łaszcza. Właściciel tutejszy posiada 12,000 dziesiątyn pławni rozciągających się nad Konką i Dnieprem, przez które właśnie minawszy Tarasówkę, przejeżdżaliśmy. Dalej jeszcze, wzdłuż doliny, stoi duża słoboda, właściciela Sinielnikowa, napiętnowana haniebnie niewyroczniałym zarządem i nadużyciem miejscowej kantory. Na przeciwległym od niej brzegu dniewnym, właściciel Kleju, puścił po tańszej cenie sprzedaż drzewa w swoich pławniach. Mieszkańcy tauryckich stepów, udali się najprostszymi drogami przez pławnie dla kupna; lecz kiedy inne ekonomie nie czyniły im w drodze żadnych przeszkód, pomieniona kantora pod pozorem troskliwości o całość swojego lasu, nie tylko wzbraniała przejazdu, lecz przejeżdżających już z ciężarem aresztowała i rąbała im wozy, chociaż nabywcy drzewa, wszelkimi byli zaopatrzeni potrzebnymi świadectwami. Dalej za tą niegościnną słobodą, której zasłużoną pamięć zachowujemy, następuje duża wieś rządowa Wodziana, i na koniec za nią, przy ujściu Konki do Dniepru, ogromna, także rządowa wieś Mała-Znamienka, inaczej Kamionka, naprzeciw Nikopola, którą zdala tylko na stepowym podgórzu rozesełaną ukazawszy, wracamy jeszcze do właściwej naszej drogi, prawego pobrzeża.

Niżej tedy Tarasówki, prawym brzegiem kotliny pławniowej, znajduje się najprzód wieś właściciela Mikłaszewskiego; dalej mała wioszczyna zwana Małamy, za którą potem następuje wspomniona wyżej wieś Klejna, i w tej dopiero pozycyi Dniepr zwracając przez pławnie w prawo, przypiera do „przyładka Dobrej nadziei,” obywatelki Jakowlewój. Tutaj, jakoby na podtrzymanie tej trochę romansowej nazwy, leży u spodu przyładka nad brzegiem, wieś porządnie zabudowana, zapowiadająca pewien dostatek włościan, na samym zaś wierzchołku, piękny dwór z obszernym sadem, ciągnącym się po całej pochyłości

góry do brzegów rzeki. Okrążywszy przylądek, leży wieś kolokacyjna, w jednej swej części zwana Ilińska, należąca do właścicielki Słonowskiej, która urządziwszy dość znaczny zakład rybołowczy, zapewniła lepszy byt swoim poddanym, dając miejsce zarobkom. Druga zaś połowa, pod nazwą Hoła-Kruszewka, w bardzo mizernym przezierając stanie, należy do kilku drobnych posiadaczy. Za tą następuje wioseczka właściciela Óczeretki, za którą ściele się wielka sloboda Czernyszewa, oficjalnie Krasnogrigroryewka nazwana. Lecz przed tą jeszcze wsią Dniepr oddala się na kilka wiorst od brzegu, a pod wsią zostaje tylko przeciek Rewun i Rzeczyszcz, czyli dawne zamulone łożysko Dniepru, gdzie w pozostałych jamach, po opadnięciu wiosennych wód, zbierają znaczną ilość rozmaitej ryby. W północnej téż stronie wsi, znajduje się miejscowość zwana Horodyszcz, nad Rewunem, gdzie wedle podania, siedzieli Zaporozcy, i gdzie dotąd znajdują się ślady ich okopisk. Wieś Czernyszewa posiada liczne sady, a mieszkańcy trudniąc się rybołowstwem, mając przytém do użytku pławnie i pastwiska, żyją w dostatku. Za Czernyszewą leży wioseczka Borisohlebowka, właściciela Neczajewa, przewyższająca wszystkie swoją nędzą, w której błąda, wynędzniała i w lachmanach dziatwa, wytrawiona głodem z rodowej swego plemienia dumy, biega za przejezdnym prosząc jałmużny.

Wieczór zbliżał się ku zachodowi, gdy znajdując się w tym punkcie, znowu poczęliśmy z pławniowych posępnych pejzaży, wychylać się na rozleglejsze przestworza wód, i przed nami wprawo, okazał się zdala obnażony i obrywisty brzeg Łyséj-Góry, a u spodu, na samej bystrzynie rzeki, uczepionych do brzegu, stało pięć młynów łyżwowych, z wysokimi *podsobejnemi* (podliwnemi) kołami, które na całą głuchą krainę biły z ogromnym hurkotem i tarabanem sukno w foluszach; dalej zaś za tém, puszczać wzrok naprzód, ślały się wyspy, gaje, rozlewy, przecieki, i w zagłębionej perspektywie, na końcu pejzażu, wybiegły wieże Nikopola. Młyny te strasząc nas, staramiennym prawdziwie Bryryaszowym tarabanem, za zbliżeniem się płyty, same w omdlenie wpadają. Zdarza się bowiem często, że płyt uniesiony prądem rzeki, wpada na

młyn i na miejscu go druzgocze, lub wsadziwszy na siebie, unosi z kołami i z całym oniemiałym przyborem strachu, wiorst kilka, nim zdołają go zepchnąć na brzeg, lub do wody. W okolicznościach naszego młyna, przy niebaczności i niedoświadczeniu sterników, sceny tej mogliśmy łatwo doznać, i szczęściem to wielkiem było dla młynów, miały one wnet za sobą wkońcu wsi, groźną dla płytów łysogórską *zabogę*, która niby najeżona bateria zdala je ostrzeliwała. Lecz natura stawiając tu wszystkich we wzajemnym niebezpieczeństwie, dla baczących i ostróżnie chodzących, zostawiła przecię drogę do wyjścia. Dniepr w tém miejscu wynurzając się z pławni, rozdziela się na dwa szerokie łożyska, okalające ramionami wielką wyspę Orłową: jedno z takowych ramion idące prosto, jest właściwem łożyskiem Dniepru; prawe zaś naginając się ku lądowi, zwane Oręł, uważa się za jego przeciek, na którym właśnie i zabory i młyny. Że zaś, mimo podrzędnej swęj przeciekowej roli, na Oręł to idzie silniejszy i głębszy prąd rzeki, odciągający statek z prostej drogi wielkiego koryta, doświadczeni więc i śmielsi sternicy, licząc na swoją biegłość, idą nurtem Orła, koło młynów wprost szturmem na zabogę; lecz przeciwnie, nasza anarchiczna wataha, polegając więcej na swojej sile, jak przemysłowości, wcześniej wzięła się do babajek, usiłując obejść niebezpieczeństwo korytem Dniepru: co ten miało skutek, iż chociaż uniknęliśmy zabory, unoszeni jednak silnym prądem, z całym naszym ciężarem zasiedliśmy w widłach wyspy na mieliźnie. Ciężka to była dosyć sprawa; nim wydobyliśmy się z miejsca, słońce już zachodziło, i zamiast nocowania na przeciw Nikopola, trochę jeszcze odpłynawszy, zatrzymaliśmy się na drugi nocleg, na pięknym piaszczystym brzegu cienistej wyspy Orła.

Wieczór ten mniej dzikie od wczorajszego, lecz nie mniej malownicze w panoramie swojej, przesuwiał sceny i widoki. Rozłożywszy wielkie ognisko na brzegu wyspy, pod wieńcem cienistego gaju, mieliśmy przed sobą za szerokimi nurtami, dzikie lasy pławniowe, zarysowane czarnym niskim brzegiem ponurych obrywów, niby żelazną ujętych obręczą. Tymczasem w przezroczu światłego

zmroku, kiedy z zagłębień lasów na horyzont nocy, wydobywała się krwawa łuna księżyca, liczne łodzie napełnione ludem, poczęły przeżynać Dniepr w rozmaitych kierunkach, roznosząc melodyjne śpiewy po jego akustycznych przezroczach. Lud ten wracał z Łysiej-Góry po dniu świątecznym, nocować na pławniach, ku rannej jutrzejszej pracy. Nieopodal od nas spora łódź unosiła zgromadzony chór dziewcząt i parobków, śpiewających rozległym głosem ukraińskie melodye. Była to prawdziwie wielka sere-nada, godna dneprawych wód i lasów, godna letniego wieczora i téj malowniczej dekoracyi, pierwobytnéj przyrody, której żaden wysiłek płatnej sztuki, na teatralnych deskach sprostać nie zdoła. Wkrótce wszystko ucichło, jako czary: umilkły śpiewy, zagasło ognisko, tylko cichy plusk wody potraçał o płyt, a z głębi pławniowego lasu, dochodziło rozległe echo dziko ujadającego psa, unosząc wyobraźnię w fantastyczną krainę gminnych baśni o pustelniczej chatce, lub tajemniczym dziadku czarodzieju; i często wśród wielkiej nocnej ciszy, z głuchym łoskotem opadające w wodę brzegowe obrywy, budziły ze snu zatrwożone ucho, jakoby dochodzącym głosem wołającego ratunku topielca. Niezmordowana natura ciągle odbywała swoje przeobrażenia: obrywając jedne brzegi, zmieniając ich kształt i objętość, drugie tymczasem zwiększa, tworzy, mocuje i zasiewa.

Nazajutrz rano bardzo opuściwszy Orzeł, wpłynęliśmy w zwężone koryto Dniepru między dwoma brzegami lądowymi, niby w środku przepasującemi tu ogromną dolinę pławniową, dzieląc ją na dwie niejako połowy: północną, którąśmy przebyli, i południową, która do przebycia nam jeszcze zostawała. W tém miejscu u „*Nikitina-Rogu*” była, wedle tradycyi, jedna z dawniejszych, Zaporozka Sicz, poprzedzająca „Sicz starą” niżej nieco założoną, i z kąd jeszcze najprawdopodobniej, Bohdan Chmielnicki ruszył ze swoją drużyną pod Żółte-wody. O tém ślady w historii dość niewyraźne. Głównie zaś Nikitin-Róg znany tém, iż była tam zawsze zaporozka przeprawa na tatarską stronę, zwana „*Nikitin-perewoz*”, czyli „*Nikitino*” kędy przeprawiały się mianowicie czumackie watahy, idące z Ukrainy polskiej i innych okolic

stepowych, po sól do Krymu. W lewo ztąd, przy ujściu Konki, jak nadmieniliśmy, rozpostrzeniała się na brzegu, ogromna wieś Mała Znamienka; w prawo zaś, naprzeciw niej, na wzniesionym przylądku, właśnie na dawnym rogu, stało dość porządne i dogodną miejscowością swoją zapomożone miasteczko Nikopol. Przed laty ośmdziesiąt, było tu zaledwo kilkanaście zamieszkałych chat i mała cerkiewka zbudowana przez kozaka Nikitę, dla skrócenia drogi chodzącym na nabożeństwo mieszkańcom i przewozowym kozakom, do jedynej w tych okolicach siczowej cerkwi, o dwadzieścia kilka wiorst odległej. Pomieszcział się też tutaj wydziałowy zarząd zaporozki nad przeprawą, złożony z szafarza, podszaforza, pisarza i podpisarza, zbierających za przewóz pieniądze i prowadzących rachunki; tudzież niekiedy, w porze silniejszych wpływów rosyjskich na Zaporozie, przebywał ze strony tamtej osobny przystaw, dla wydawania przechodzącym czumakom jarłyków i poświadczania świadectw.

Z całej skromnej przeszłości tego miejsca, ważne jednak zajmującego stanowisko w okolicznościach owoczesnego handlu z Krymem, obecnie dochowało się tylko w Nikopolu kilka nic nieznaczących pamiątek cerkiewnych, kilka dawnych belek w chatach z napisami pierwotnych właścicieli, i kilka, tu owdzie kamiennych krzyżów zaporozkich, stojących nad grobami wiernych synów Czarnomorców, którzy wracając dawniej z nowego wygnania do swjej rodzinnej Palestyny, prochy swoje tu składali. Prócz tego, na urwistym brzegu przylądka, podmywanym wodą, sterczą w górze z ziemi, na pół poodrywane trumny, bieleją kości i osuwają się w wodę próżne czaszki, pływając jako konchy, z dawnej przeszłości zaniedbanego cmentarzyska.

Nikopol terazniejszy, miasteczko ekaterynosławskiego powiatu, stale zasiedlony pierwotnie przez rozproszonych z ostatniej syczy Zaporozców, ma obecnie więcej 6,800 mieszkańców obojjej płci, po większej części małoruskiego plemienia. Stojąc w punkcie główniejszej zawsze przez Dniepr przeprawy i zostając bezpośrednio pod władzą krymskiego solnego zarządu, tudzież nad wielkim i głębokim przeciekiem rzeki, był zawsze składem miej-

scowych płodów, zapewniających mu, w miarę swojego handlowego rozwoju, większy ruch i pomysłność. Te same okoliczności rozwijały tu zawsze biegłych żeglarzy, a statki i łodzie robione w Nikopolu, uważane za najlepsze, okoliczną zyskały sławę. Statki te pospolicie nazywane *łodki* i *duby*, tém się różnią od siebie, iż łodzie, jako statki morskie, mają wysokie burty i z buszpritem; dub zaś płaski, bez tych dodatków. Zwykle miewają po dwa maszty i podejmują od 500—8,000 pudów ciężaru, na których handlarze rozwożą do rozmaitych czarnomorskich, a nawet azowskich portów: zboże w ziarnie, a czasem drzewo, łój, lub inne przedmioty. Głównymi pośrednikami w obecnym czasie tego handlu, czy to na własnych statkach, lub jako najemnicy na cudzych, są tak nazwani „wolni żeglarze” (wolnyje matrosy), których główna gmina, czyli *obszczyna*, znajduje się w Nikopolu, licząca do 1537 dusz męzkich.

Konieczność prowadzenia handlu przewozowego, podała przed dwudziestu laty pierwszą myśl ks. Woroncowi założenia „*Obszczyny wolnych matrosów*” w całym noworossyjskim kraju, włączając w to i obwód bessarabski. Warunkami tego towarzystwa były: uwolnienie rodziny zapisanego ochotnika od wszelkich podatków, rekruta, postojowej i furmankowej powinności; lecz natomiast wszyscy młodzi ludzie wpisanych siemii (familij), obowiązani byli służyć pięć lat na statkach czarnomorskiej floty, dla wyuczenia się żeglarsstwa; poczem otrzymawszy patent wracali do domów, dla swobodnego zajmowania się żegluga. Matrosy nie brali nadziału ziemnego, mogli otrzymywać go od rządu, z opłatą przywiązanego podatku. Po ogłoszeniu warunków, mnóstwo z ludzi wolnych, lub z włościan rządowych zgłosiło się na nie, z których też w rozmaitych miejscach prowincyi, powstały gminy pod zarządem obieralnego głowy i starostów, a pod szczególnem zawiadowaniem osobnego urzędnika z kancelaryi wojennego gubernatora, zostających. Wszystko, póki nowe, szło należytych porządkom: młodzież postępowała na flotę; wysłużywszy przepisane lata na flocie, z zaszczytnymi patentami wracała do do-

mów, wprowadzając widocznie ulepszenia tak w umiejętniejszem urządzaniu łodzi, jako téż w sterowaniu ich po morskich brzegach, a w ostatniej wojnie krymskiej, z jednej tylko nikopolskiej gminy 253 matrosów otrzymało medale, jako zaszczytne świadectwa obrońców Sewastopola i rzetelnej ich w kraju wartości. Pomimo to, myśl ta pożyteczna istotnie, czynnie i skutecznie w wykonanie pierwotnie wprowadzona, w późniejszym czasie przy spuszczeniu z nich opiekuńczego oka pierwszego organizatora, paraliżowana rozmaitemi przeszkodami chybniej w zarodzie ich administracyi, zostawiającej liczne okienka nadużyciom, nie doszła do zupełności, zatrzymała się w rozwoju i w końcu upadkiem została zagrożona. Z położenia swojego w ukośnym tylko niejako zostając stosunku względem policyi i zupełnie wyjęci z pod wpływów Izby dóbr państwa i okręgowych zawiadowców, lecz bez należytej opieki ze strony swój właściwej władzy, przy najmniejszem w konieczności zetknięciu się z tamtymi, wystawieni bywają na ich szykany. Kassa ich obszczyzny i pieczęć znajdują się przy policyi, bez której głowa żadnemu matrosowi nie może wydać żadanego biletu, a ztąd mitręgi, wątpliwe wyliczania się z ogólnych dochodów, kosztem ubogich popełnianych. Matros wracając ze służby, niekażdy jest w stanie zdobyć się na kosztowną łódź, lub dub, idzie więc na najemnika, a przy małym rozwoju handlowym, niezawsze bywa dostateczny zarobek, i ten trwa tylko w czasie żeglugi: dla wielu więc z nich brakuje środków osobistego utrzymania, a tém bardziej rodziny, gdy ją który posiada. Odsunięci przytém od wspólnych miejskich wypasów, nie mając prawa popaść krowy na wygonach; odsunięci od użytkowania ze stepu i pławni, wielu w strapieniu zarzucił swoje rzemiosło i udaje się do rządu prosząc o kawał ziemi. Lecz i tu, jak powiada p. Czuzbiński, chociaż wszyscy dążymy do jednego celu, wszyscy jednej służymy ojczyźnie, dawnym jednak zwyczajem zawsze u nas zielony kołnierz bruździ czarnemu, czarny zielonemu, i t. d. Więc matros z pod innego już będąc zarządu, spotyka u okręgowych naczelników przeszkody, zwłoki, a najczęściej odmowę pod pozorem, że żądany kawałek

ziemi, może się przydać któremu z włościan rządowych, bliżej go obchodzących. Stan zatem ich dosyć nędzny, świadczy oraz dowodnie, że tylko ziemia i rolnictwo jest rzetelną podstawą dobrobytu Słowianina. Tymczasem naczelnicy widząc w skutkach ubóstwo, opilstwo, opuszczenie i zniechęcenie, lecz nie umiejąc, lub nie chcąc zajrzeć w głąb istotnych przyczyn, zwalają to wszystko na nieszczęśliwie okrzychaną naturę chłopą, tego samego chłopą, który najzaszczytniejsze otrzymał świadectwa o swoich zdolnościach, którego piersi okryte bliznami w najzaszczytniejszej dla jego imienia obronie Sewastopola, i którego teraz stowarzyszenie, za szkodliwe i wcale niepotrzebne krajowi podają.

Taki jest obecny stan „wolnych matrosów”, którym lepszą nieco przyszłość rokuje zawiązująca się kompania parowej żeglugi, w której obszerniejsze znajdują pole dla swoich usług i zdolności. Mieszkają oni po wszystkich nadbrzeżnych czarnomorskich i azowskich miastach i miasteczkach, tudzież po rozmaitych rozrzuconych wsiach i chutorach powiatów przyległych do większych rzek noworossyjskiego kraju, gdzie ogółem liczą ich do 13,043 mieszkańców płci męskiej i tylko 4,268 żeńskiej.

Ruszywszy z noclegu, jedna część płyty oddzieliwszy się poszła przodkując do Małej-Znamionki, gdzie była zakupiona; na pozostałej zaś z nieoddzielną budką pomijaliśmy najobojetniej Nikopol, zewnątrz tylko opatrując jego obrywiste brzegi cmentarne, wspierane obnażonemi skałami, które od dalszego niszczenia wody osłonią. Byliśmy tutaj dopiero na siedmdziesiątej siódmej zaledwo wiorście od Kiczkasu, mając jeszcze przed sobą do Chersonu 202 pozostałych, czyli pięć dni do płynienia przy najprzystajniejszych okolicznościach. Żołnierz tedy-furazer puścił się łodzią do brzegu na rynecek, wziąć tam co Pan Bóg da, ja zaś wiedząc tylko, że tu gdzieś w pobliżu powinna znajdować się miejscowość „Starój siczy”, poleciłem szczegółowiej o tém dowiedzieć się. Nie wiele go to widać obchodziło, może się nawet i nie pytał wcale, ale za powrotem powiedział, że jeszcze wiorst z pięćdziesiąt, a zatem chyba więc dopiero nazajutrz około południa miejscowość jój przejeżdżać nam wypadnie.

•

Dniepr w przeprawie zwężony i usłany licznymi wysepkami, lub przepasany długo ciągnącymi się od brzegów kosami, na których rosną czarne olchy i inne drzewa. Lecz pominąwszy Nikopol, dolina jego znowu rozszerza się w nieobejrzane przestrzenie lasowych pławni i łągów, stanowiących tutaj właśnie rdzenną posiadłość „zaporozkich wolności” i drugą niejako południową połowę części przez nas już przebytą. Charakter ich ten sam, może tylko więcej ponury, dziki i zmartwiał, jeżeli do tamtego jeszczeby co dodać znalazło się; główna zaś odmiana w tém, że tutaj prawy brzeg kotliny zniżając się w płaskie stepy, niknie wcale z horyzontu, gdy przeciwnie łożysko Dniepru przytrzymując się odtąd więcej lewej strony, ma przed sobą prawie bez przerwy widok przez pławnie na brzegi lewe, zdala ciągnące się wyniosłym pasmem odsłoniętych stepów, ze ścielącymi się na nich nadbrzeżnymi wsiami. Znakomitsze z nich były ogromne wsie rządowe kolejno po sobie następujące: Mała i Wielka Znamionki zasiedlone przez starowierów, wychodźców starodubowskich za czasów Potemkina tu osiadłych. Wsie te są zamożne: lud bowiem pracowity, trzeźwy, słynie jako dobrzy rolnicy, troskliwi uprawiacze sadów, ogrodów warzywnych i winnych plantacji; pielęgnują starannie drób i zwierzęta domowe, ku czemu oprócz wrodzonych już skłonności, znacznie do ich rozwoju przyczynia się swoboda bytu i chętnie przejmowanie wzorów z blizkiego sąsiedztwa menonitów. W samej Wielkiej Znamionce oprócz wielu plantacji ogrodowych liczą 140 sadów z wybornymi gatunkami owoców, zyskującymi nagrody na publicznej wystawie płodów i gdzie właściciel Ewłampiusz Polakow, właściciel trzech sadów, pobiera po 1,400 rs. rocznego z nich dochodu. To mieliśmy po lewej stronie; w osłoniętych zaś tajemnicach brzegu prawego nieopodal za Nikopolem leży wieś właściciela Zejforta, zwana Sulicko-Limansk, czyli pospolicie Nejmojewa, na ziemi której nad rzeczką Czertomłykiem leży owa znakomita z ogromu mogiła „Towsta”, nie badana dotąd przez archeologią, zaostarzająca niezmiernie jej apetyt i na wierzchołku której stała znajoma już nam „kamienna baba”, której cudotworną historią wyżej opowiedzieliśmy. Dalej idą tym brze-

giem wsie: Kapułówka, Pokrowska, Hruszówka i t. d., na których rejestrowém tylko wyliczeniu tą razą przedstawiamy.

Tego dnia z samego rana powiewał mały wietrzyk i niebo było zasepione; lecz pominawszy Nikopol, niebo zakryło się mgłą, wiatr począł coraz silniej wzmaczać się, nadymając fale rzeki chlipające na płyt i zbijające go z drogi. O ile bowiem opiera się on ludziom i babajkom, o tyle ulega najmniejszemu powiewowi wiatru. Że zaś na płycie pozostało tylko czterech robotników, którzy opierać się falom nie mogli, jedni więc uradzili przybić do brzegu i poczekać przybycia reszty z Kamionki, a że zdanie ich było przeważne, więc na razie utrzymało się i stanęli; lecz przeciwny temu olbrzym Nikołaj, przywłaszczający tą razą rolę niby naczelnika, przybrał powagę, płyt odwiązał i puścił na wolę wiatrów. Radzić rozsądnie było trudno: nie było odpowiednich sił, a przy niezgodzie zabrakło steru i ochoty. Płyt tedy zbijany falami, wkrótce dał nosem pierwsze go nurka w stromy brzeg i zatrzymał się; tymczasem tylna część niesiona prądem dała młynka i poszła już przodem, ciągnąc resztę tułowu za sobą, ale zaczepiła o brzeg pławni i połowa płyty oderwała się. Chcieli związać, ale nie zdążyli i obie połowy płynęły teraz obok siebie na szybkim i wzburzonym prądzie; wreszcie jedna znowu trąciła o brzeg rogiem i rozdzieliła się na dwoje. Już téż i budka była w niebezpieczeństwie trzymając się na brzeżku, a jaki popłoch, jaka bieżanina z kłody na kłodę zrozpaczonych flisów, usiłujących spoić rozdzielające się części, które dając raz po raz młynka i storczaka o brzegi, groziły zupełném rozerwaniem płyty, tego powtarzać nie ma potrzeby. Ja z żołnierzem nie będąc ani sprawcami kłopotu, ani wstanie czemu zaradzić, zostawując flisów ich losowi, puściliśmy się tymczasem łódką na brzeg szukać jagód i kąpać się. Gdyśmy potem dopędzili go na środku, był już jako tako naprędcie sklecony, ale to nie na długo trwało, bo wkrótce haniebnie rozpędziwszy się na ogromnym rozlewie, dał jeszcze z rozmachem okrutnego storczaka o prawy brzeg pławni; lecz gdy tutaj na chwilę zastanowił się jakoby ogłuszony,

pławownicy korzystając z tego, coprędzej zasadzili drąg w ziemię i na miejscu go zatrzymali.

Okolice i pejzaż były tu bardzo dzikie. Staliśmy w małej buchcie, trzymając się mocno brzegu, z którego podmywana ziemia wielkimi bryłami w wodę osuwała się z loskotem, a przed nami rozprzestrzeniał się obszerny rozlew brunatno-żółtawych nurtów, do głębi zaburzonych silnym wiatrem, za którymi w oddaleniu ciągnęły znowu brzegi i lasy ponurych pławni. Milczenie tu oniemiało i ptactwa nawet widać nie było, tylko rybołowy lotnemi skrzydły igrały nad falami, łowiąc ryby w mętnej wodzie, i wśród głuchego ryku rzeki: daleki dochodził głos żurawia. Nie było co robić: postanowiono stać na miejscu do przybycia pomocy i ustania wiatru; więc zaraz po obiedzie jedni legli spocząć, inni w upatrzone miejsce udali się łowić rybę wędkami; ja zaś wlaźszy w budkę, także się zdrzemałem. Wtém na brzegu słyszę obcy głos: ktoś targuje u flisów lipkę. Wyłażę tedy z budki, powitałem i pytam, czy daleko ztąd Pokrowsk, lub Ka-pułówka?

— Ja sam jestem z Pokrowska. A wam zapewne trzeba siczy zaporozkiej?

Musiał to wyczytać z na wpół obnażonej mojej kozackiej postawy i z wąsów po zaporozku nawieszonych. Oburącz też chwyciłem za zapytanie!

— Stara sicz ztąd niedaleko, może będzie półtóry wiorsty. Ja tutaj dozoruję na ługach kosarzy pokrowskie i z miejsca gdzie stoi nasz *kosz*, widać *buhor*, na którym była *sicz*.

Mowa to była zaporozka: sicz, kosz, buhor, ługi; wszystko to na miejscu, wszystko to blisko, wszystko brzmiało nowym jakimś dziwnym dźwiękiem: stanąłem tedy na niedeptanej dotąd polską nogą ziemi tajemniczej siczy!

Dwie ztąd do niej były drogi: przez pławnie i wodą; lecz idąc pieszo naprost można *buhor* widzieć tylko opodal z brzegu; chcąc zaś na nim stanąć, trzeba dopłynąć łodzią. Natychmiast żołnierz poinformowany płynął łódką wobjazd po nad brzegiem w górę Dniepru z tém, ażeby dopłynawszy pierwszego przecieku zwanego

Pawluk, płynął po nim w dół biegu, ja zaś tymczasem z moim przewodnikiem atamanem poszliśmy pieszo w głąb pławni, spiesząc na jego spotkanie. Ługi tutaj były suche, siana skoszone i w sterty zebrane; spieszenie więc bez przeszkody pomijając samotne ługowe polany i lasowe zarośle, doszliśmy wreszcie po jakimś czasie do małego przecieku, przerzynającego pławnię w poprzek naszej drogi, za którym właśnie na przeciwnym brzegu, w pięknym zacieniu rozrosłych wierzb, stał rozłożony kosz, czyli obóz kosarzy. Pod jedną wierzbą stał tam duży wóz opleciony koszem i pod zamkiem z prowizją; w lewo pod drugą nad brzegiem przecieku hoża młodocyzka i dziewczyna krzątały się koło ogniska, przy którym stały ogromne czahunne sagany i garnki; kocioł zaś był wkopany w ziemię z wydrążonem w niej pod spodem pieczyiskiem; a za nimi zaraz siedząc na ziemi czerstwy starzec, miesił w niecce breczane hałuszki. „Trzema koszami stali” na pławniach dla trzech osobnych oddziałów robotników, więc przed nami najprostszy wykład *kosza*, który na Zaporozu u ludu znaczy: skupienie, ognisko, obóz, a mój przewodnik gospodarz kosza, niby sam *koszowy*, nie od śmieci wcale wysypywanych mu z kosza na głowę w czasie koronacy, co tylko było symbolicznym u Zaporozców dodatkiem, nie od innych subtelnych wywodów, ale znaczył po prostu: gospodarza, naczelnika rycerskiego obozu.

Przeciek błotny trzeba nam było przebyć w bród, pytam więc, kędy mniej głęboki? A usłużna młodocyzka zaraz wskazała ręką naprzeciw siebie, dodając, że tu będzie tylko po kolana i uśmiechnęła się.

— Ha! jeżeli skłamiesz, to wybaczysz; u nas tu po kozacku: będzie figiel za figiel. Zaraz tedy buty, spodnie z siebie, w rękę i do góry, a drugą ogarnawszy nieco resztę bielizny, wsunąłem się do wody. Ale przeciek błotny i dna nie widać, a od samego wstępu już było za kolana! Naprzód tedy! coraz głębiej i bieliznę wyżej, a dalej już i za pas podbierać się przyszło; stary w śmiech na całą gębę; młodocyzka z dziewczyną zarumienione skoczą między drzewa, a jam w kozackim tryumfie przebył nakoniec szczęśliwie zaporozki bród!

Tutaj zaraz ataman odemknął kosz, nalał spory kielich wódki, potem kilka smakowitych i potężnych dał jabłek na zakąskę i wnet poszliśmy do brzegu Pawluka, żeby się nie rozminąć z naszą łodzią. Stanąwszy na brzegu, łodzi jeszcze nie było i z kwadrans na nią czekaliśmy, bo objazd daleki. Przeciek to szeroki, płynie cicho wychylając się z pomiędzy pławniczych lasów i ubiegłszy wiorst może parę całej swęj długości, łączy się pod Kapułówką ze stepowym Czertomlykiem, przekazując dalej wspólnie i złączone wody swe i imiona zrodzonej z nich rzece Podpolnej, która lewym brzegiem omywając pławnie, a prawym nurtując wysokie nadbrzeżne obrywy stepowe, idzie ztąd na zachód do Pokrowska. Właśnie stojąc na skraju pławni z odsłaniającym się widokiem na step w punkcie tajemniczego zetknięcia się trzech rzek ze stepem, wynurzał się przed nami w blizkiej perspektywie, posępny „buhor siczowy”, owa groźna i swawolna dla Turków *Butakla*, dziś mała wysepka podłużna, wysokim sterczącą garbem od wschodu, pochyła ku zachodowi, jakoby wielka mogiła zapo-rozkiego grobu!

Było to miejsce „Staréj siczy”, siczy sławnej i potężnej, siczy: Ostafich, Bohdanów, Przecławów, Samuelów; siczy Konasewiczów, Chmielnickich i Sierków, którą idea wieku i rozterka podkopały, a pogromcza ręka Piotra pod Połtawą po raz pierwszy dosięgła i zburzyła!

W pośpiechu siadając na łódkę, całą połowę pogrążyłem się w wodę, o mało nie przewróciwszy moich towarzyszy. Przy płynęliśmy wreszcie do wysepki: brzegi jej od północno-wschodniego stoku rzek oberwane i strome; posypały je i wierzchnie warstwy złożyły i przemieszały czarne popioły, żuźle, smoła szewska i węgle kowalskie, skromne zabytki prostego żywota i rzemiosła wolnych stepowych rycerzy. A z pomiędzy popiołów osypują się sprzążki mosiężne i żelazne, małe podkówki, kamienne lulki, czasami moneta turecka, której nie ceniono, a najwięcej sterczy białych kości z rozerwanych szkieletów: leżą piszczele, żebra i całe głowy. Na pagórku z końca wyższego przerzyna w poprzek stary rów i wał opasujący niby święte akropolu miejsce, gdzie była cer-

kiew „o pięciu kopułach”, skarbnica wojskowa i insygnie, sklepy prochowe i składy orężne, a po których pozostały dotąd porośłe burzanami: jamy, rówczaki, doły, reszty gruzów i rozwianych wiatrami popiołów, jedynych pamiątek w znacznej części z całym placem wodą już uniesionych. W dolnej części wysepki rosły zasadzone kartofle, kapusta i inne ogrodowiny, a naprzeciw za przeciekiem Czertomłyku w zachodniej stronie słały się rozrzucone zrzadka ubogie chaty wsi Kapułówki, gdzie na odsłonionym środkowym placu sterczały stożkowate mogiły, tu i owdzie rozrzucone białe krzyże kamienne na starém cmentarzysku koszowych atamanów, kurennych bat'ków i pobożnych rycerzy bezpotomnych, uwieczniających pamięć swoją, ziemią i kamieniem!

Nie wiele miałem czasu. Szybko wszędy rzucając okiem, przebiegłszy pagórek w poprzek, zsunąłem się ze stromego brzegu na dół, pospieszając do rozrzuconych u spodu kości i cała moja mokra połowa powlekła się kozackim popiołem i błotem! Na zachodnim brzegu od przecieku Czertomłyka najwięcej znajduje się pamiątek, szczególnie po wiosennej powodzi. Widziałem u spodu czaszkę z przestreloną na wylot we łbie dziurą, może surowo skazanego przestępcy, może bohatera broniącego kozackiej wolnicy, może nieszczęśliwego jeńca, którego dzika zaciętość i mściwość na śmierć skazały! Dalej leżały rozproszone kostki i podjąłem z wody potężnej ręki prawicę, którą może krymskie płoszyła Tatary; może paliła Synopę i Carogrodu przedmieścia; może wstrzymywała Turki pod Chocimem; gromiła Lachy pod Korsuniem, Pilawcami i Batowem.

I w cóż się obracają nasze popioły, nasze życie, igraszka niepojętego losu! Wody groby rozmyją, wiatry popioły rozniosą, a potomni z urągowskim nogami potracą je będą!

Obejrawszy sicz naprędce pospieszaliśmy z powrotem do kosza. Nakażny nasz koszowy, który w zimie pełnił razem obowiązek pisarza gorzelnianego w Pokrowsku, zatrzymawszy nas na ucztę, kazał nalać miśę hałuszek sadłem zatłuczonych i miśę kaszy ze słoniną, do

których szczerześmy się przyłożyli. Lecz w tej chwili jakiś chłopiec przybył od brzegu Dniepru, zawiadomił, że płyt po ustaniu wiatru dawno już ruszył z miejsca. Skoczyliśmy więc do łodzi, lecz wracać Pawlukiem było dalej i przeciw wody, zaś mały przeciek, na którym byliśmy, wyprowadzał na przełaj do Dniepru, choćby płynąć po nim trzeba było wiorst około pięciu. Złe obliczwszy, tę atoli ostatnią obraliśmy drogę. Zdjąwszy tedy buty, bo łódź nabierała wody i zakasawszy rękawy po rybacku, wzięliśmy się do roboty i wspólnymi wspierając się siłami, podpędzając wiosłem i żerdką, szybko skryliśmy się między powisie wierzb i łóz gałęzie i między gęste sploty dzikich traw, wodnych krzewów i osoki, których rodzaju klasyfikować tą razą nie mieliśmy ani ochoty, ani możności. Po jakimś czasie przeciek rozdzielił się na dwa ramiona; szczęściem, że żołnierz dobrym wiedzion instynktem, zostawiwszy w prawo większy i czystszy, w lasy na obłęd prowadzący, trzymał się mniejszego i w końcu szczęśliwie, choć z wielkim mozolem i bacznością a strachem, wyparliśmy się trafem na szerokie Dniepru przestworza. Lecz płyty ani przed nami, ani z tyłu za sobą, jak okiem zasięgnąć, nigdzie nie widać. Miarkując po czasie odejścia, wedle zapowiedzenia naszego zwiastuna, widocznie musiał już minąć i jest na przodzie. Więc dalej w pogoń za wodą, bo już i słońce skłaniało się ku zachodowi. Po drugiej stronie na bystrym skřęcie rzeki stał młyn uczepiony pławniowego brzegu, jedyny świadek w tej głuchęj okolicy, który mógł nas objaśnić. Przerzneliśmy w poprzek rzekę dla wzięcia języka, ale ten tak okropnie bełkotał, harmiderował, a kulakami tarabanił, iż nie dowoławszy się ze środka młynarza, który zapewne i głuchy tam i ślepy, puściliśmy się dalej bez wieści. Długo tak płynęliśmy: mijaliśmy wody, lasy, przecieki, zatoki, wyspy, lecz nigdzie żywego stworzenia: ptastwa nawet tu nie było, tylko czasami kuliki i parę czapli przeciągnęło w poprzek, a oto już i wieczór długie przeciągnął po wodach cienie wysp i drzew. Wtém płynie nurtem zdala jakaś potwora, niby baba zdechła biała; podjeżdżamy bliżej, wyraźnie człowiek topielec — jeszcze bliżej, aż to ogromny, wzdęty

sum, który okrutném na nas wionął powietrzem zagniętém, ażeśmy się zaledwo cofnęli. Była to zapewne ofiara zatrucia, lub tych rozstawianych „sznurów”, które najczęściej raniąc tylko rybę, bezużytecznie ją wyniszczają. Tak upłynęliśmy wiorst przynajmniej piętnaście, gdy wreszcie Dniepr przerznąwszy w poprzek pławnie, odsłonił przed nami w prostym kierunku wysokie brzegi tauryckie. Tu przecie kres naszej niepewności. Na brzegu stała jedna i zaraz druga rzędem wioseczka, a w kolanie nagłego załomu rzeki zdala wrzeszczący młyn, który bystro pominąwszy, zatrzymaliśmy się niebawem przy promie, na przeprawie z wioseczki na pławnie. Lecz o płycie i tutaj żadnej wieści; naturalnie, żeśmy wyprzedzili, bo płyt fizycznie nie mógł tak pospieszyć, ale żołnierz-żydek tak był nastraszony jego utratą, iż koniecznie chciał pędzić jeszcze dalej. Może przewoźnik promu zasnął i nie dojrzał, może ludzie nie widzieli, może wszyscy wtenczas spali i nie postrzegli: słowem, cały bezsens trwożliwych dowodzeń człowieka, który instynktem dobrze kierował, a rozumem głupio dowodził. Więc basta! nocujem tutaj. Wyciągnąwszy łódź na brzeg, zdaliśmy na opiekę przewoźnika, który na swój łodzi już przewiózł na brzeg przeciwny, szukać noclegu we wsi Uszkołce. Tutaj na brzegu stał nowy, nie wielki krzyż postawiony na grobie utonionej przed kilką dniami młodej dziewczyny. Była długi czas smutną i milczącą; poszła wśród dnia i utonęła, a nikt nie wie i nie bada przyczyny. Ach! gdyby rozumiano świeżość uczuć prostego ludu, łącznoby odgadli, że to tylko była uwiedziona dziewczyna, która sromem swoim nie umiała owładnąć! Brzegom panowała wysoka góra; w połowie jęj wysokości na płaskim ustępie, niby szerokim tarasie rozścielała się wioseczka ze swojemi ogrodami i sadami przypierając do podnóża drugiego piętra góry. Przewodnik zaprowadził nas do Tychona Czarnego. W dziedzińcu dwie porządne chaty gospodarskie: w jednej mieściła się rodzina, synowie żonaci, drugą zdawał się zajmować wygodnie sam tylko gospodarz z babą. Na stole u niego stały butelki i czarki; pachniała wszędzie rozlana okowita, leżały porozkrajane pyszne, ponsowe kawony, aromatyczne pomarańczowe melony,

wielkie soczyste dule, wyborne w misie śliwy węgierki już dochodzące i czarne plastry miodu niżowego: tu „chàta bohàta uhlàmy y pyrohàmy”! Ale było już po przyja-
cielskiej uczcie; sam tylko Tryfon, lat głębokich, ale
czerstwy i jary, średniego wzrostu, z brodą czarną i gęstą
jak zlepioną, witał nas dobrze podchmielony, bo był to
syn atamana niegdyś baturyńskiego kurzenia na sicy.
I mleka kazał babom sparzyć i jajeczni spiec, ale więcej
ani słowa, bo jako prawdziwy nieufny Małorus, umiał
dobrze trzymać język za zębami, zbywając krótko i nie-
podzielnie wszelkie o przeszłości napomknienia. Na nocleg
sam udał się spać do sadu, ustępując mnie swojego
w dziedzincu *połohu*; żołnierz zaś miał do wyboru nocować
na przyźbie, lub w chacie otworem na dobrą wiarę
zostawioną.

Połoh znaczy rodzaj namiotu od komarów na wolnym
powietrzu: duży to pokrowiec z gęstej siadownicy na sosz-
kach zawieszony, szczelnie opuszczony do ziemi, pod któ-
rym stoi łóżko, lub tapczan z pościelą. Wymysł to jedyny,
na Niżu w powszechnym użyciu: można go przenosić, po-
wietrze pod nim czyste, a komary tylko wokoło grają,
nie mogąc wścibić swego podłego nosa do środka. Żoł-
nierz nieborak mordował się na przyźbie wystawiony na
ich cięcia, bo było parno, więc nacierały niecierpliwie,
a w izbie można się udusić i komarów pełno. O północy
zebrały się chmury, błyskawice, grzmoty zagrały i deszcz
puścił się ulewny, a na mnie, jak przez gęste sito począł
rzęsiście przesiewać. Nie było ratunku, i pod bokami
mokro, skoczmy więc z kolegą do chaty, ale tu koma-
rowe piekło!... przed deszczem i one się nacisnęły. Cięcia
były dotkliwe, kapela wciąż brzęcząca, janczarsko-piskliwa,
bo jak słusznie zauważano na Niżu:

Jak pryjde Spas, komaràm uwirwètcia bas,
A jak pryjde Preczysta, zabere ich neczysta...

Było to wówczas, gdy grały już *soprano*, ale wytrzy-
mać było trudno; deszczyk też począł folgować, więc zno-
wu na swoje legowiska. W leśniem odzieniu, bez burki,
zatem chłodek nocy, wilgoć powietrza, mokre boki, poczęły
dobrze za skórę chłodem dojmować; więc zmoczone pie-

rzyny przewróciłem do góry, wydobyłem ze spodu wołok i otuliwszy się z wierzchu zamiast kołdry, mocno zasnąłem, obudziwszy się wtenczas dopiero, gdy pod powtórna ulewą woda ściekając z wołoka, należycie znowu boki podmoczyła. Na brzask się zabierało, a wkrótce i dzień poczęło po zejściu chmur; poszedłem więc na brzeg, z góry wyglądać płyty, ale też w tej chwili postanowiłem z nim rozstać się na zawsze. W Pokrowsku rządy sprawuje Garnier, Niemiec żonaty z Polką, której znałem brata i dwóch synów w gimnazjum i uniwersytecie kijowskim; jest więc pozór do przestąpienia progów... Co więc wczoraj, będąc o wiorst kilka, niebacznie nie uczyniłem, dzisiaj można jeszcze było poprawić. Uszkołka i Pokrowsk i całe obszary pławni, do jednego należą państwa, słowem, rzeczono: zostać na Zaporozu! Wtém, w purpurowym blasku promieni wschodzącego słońca, złocistym matem powlekających powierzchnią wód i lasów, z zakrętu rzeki cicho wychyla się płyt, machając obydwoma babajkami... Zaraz dałem hasło żołnierzowi, zbiegliśmy na dół, znalazła się łódka i co tchu puściliśmy się na spotkanie. Pocziwi pławnicy, aż zbiegli się z radości, nie wiedząc co się z nami stało, gdzie szukać, jak radzić??... Ale niedługo tego było: zaraz rzeczy na łódkę, żołnierzowi rubelka za trudy, flisom parę karbowanćów na wiadro wódki, i, z Bogiem! każdy w swoją stronę.

Tryfon z podchmiela dłużej zasypiał, a wstawszy chodził on i nie trafiał, robił i zamyślał się, szukał i nie znajdował... Głównie nam tu chodziło o wynalezienie środka dojechania do Pokrowska, dokąd drogą lądową przez pławnie, liczono wiorst kilkanaście i dwa promy do przebycia, a wodą przeciekami więcej dwudziestu. Wypadkiem jego czynno-biernych starań było zawsze: tego nie ma w domu, ten nie może, nie ma czasu, ów jechać nie chce... Postrzegając więc, że bez głównego motora, nic tu stanowczego nie zrobimy, i długo zrzęćności oczekiwać przyjdzie:

— Ej Tryfone, powiadam, jakby to nam wypyt' po czarcu?... szczoś meni stało młósno w żywoti, duże dyn naiwsia nà szczo-sérce.....

— „Ta szczoż, skàzano: jak wpyt' tà-j wpyt'... Chyba prynesty, bo w mène nema tepèr kohò poslat'?... A mo-że u dwóch pijdemo... możeb kto najszowś pidwezty was”...

— Nu jak pijty, ta-j pijty obòm....

Ale w Uszkołce czy to szynku nie było wcale, czy to wódka była droga, tajemnica ta zostaje nie rozstrzygniętą, więc poszliśmy o pół wiorsty na *deszèwu* do szyneczku w Karadubinie. Tutaj zaraz na orzeźwienie i na dobrą ludzką znajomość wypiliśmy *czwertku*, a pół kwarty Tryfon wziął do kieszeni, żeby lepiej zagaić umowę z tym co może, a nie chce. Baba zaś tymczasem szynkarka, wyniosła nam z *po-hrèba* kilka ogórków świeżych i plaster miodu na zakąskę, bo zapaśna to i dostatnia była. Miód pławniowy ciemny, patoczny, dość odrębnego smaku i aromatu, i widocznie mało krystalicznych posiada pierwiastków, a łatwy do zakisu. Wracając napowrót koło swojej chaty, Tryfon wziął na przypadek z sobą czarękę i poszedł na umowę; ja zaś, że to było skwarno, wolałem zostać tą razą na ustroniu w otajemniczeniu pańskiej godności, żeby się niebardzo pospolitować; zaś jako prawdziwy przyjaciel domu, korzystając z czasu, rozpatrywałem tymczasem swobodnie najlepsze w sadku grusze i jabłonie; najpiękniejsze na basztanie próbowałem kawony i melony, a wreszcie przez ciekawość wszedłem się na najwyższe piętro okalającej góry, gdzie stało kilka wiatraków. Przedemną odsłonił się tam równy i gładki plac stepowy, gdzie na przestrzeni nie więcej pół wiorsty kwadratowej, skupiło się do 40 starożytnych mogilek, mniejszej objętości, z których niektóre w całości dochowane, po innych tylko wypukłe pozostały ślady; a między niemi, na całym placu zagłębiają się jamy i wielkie doły, wyraźne dowody stałego tu obozowiska. Miejsco-wość ta panująca i dogodna, przez nikogo nie badana, znana zapewne była najodleglejszej epoki koczowniczym plemionom scytyjskim, po których pozostały mogiły, i gdzie potem, wedle podania miejscowego, był obóz tu-recki, a właściwie historycznie, główne stanowisko obserwacyjne Ordy jedyckulskiej, pod dowództwem seraskiera, lub kajmakana, stale koczującej w okolicy przyległego Rohaczyka, której zadaniem było trzymać na oku bli-skich swoich sąsiadów siczowych. Rzeczywiście, z tego

miejsca cały obszar zakłęsłych w niezmiernej dolinie pławni, poczynając od Nikopola, całe prawie przerzynające je koryto Dniepru, i w oddaleniu, na przeciwnym brzegu za pławniami, wychylające się obie siczy kozackie, były jak na dłoni. Wystawał tam na poziomie z lasu i z wód, czarny, sinawą osuty mgłą, grzbiet pagórka, „Starój Siczy” i opodal nieco w lewo, wydobywała się z cienia drzew, biała cerkiew Pokrowska, znamionująca miejsce „Siczy Nowej” i ostatniej. Tak blizkie sąsiedztwo nieukróconych „łycarów,” mogących w każdej chwili niepostrzeżenie podpływać w gościnę swojemi czajkami, czujnego bardzo oka i ostrego ucha, wymagało w nieprzyjacielu.

Pozycja ztąd bardzo ciekawa i charakterystyczna: ściele się na poziomie, ledwo obejrzana okiem panorama niezmiernej kotliny dniewrowskiej, zamkniętej dokoła oddalonymi brzegami wyniosłych od wschodu stepów, a płasko ścielących się od zachodu. Na wyniosłości ich brzegowej, widnieją w prawo: Wielka i Mała Znamionka; połyskują też przodem z lasów cerkiewne wieże Nikopola; widnieje na płaskim brzegu Nejmojewo; Kapułowka z poza-siczowego wychyla się buhry; Pokrowska na widoku z białą cerkwią, dalej półkolem w lewo Hruszówka, inne jeszcze ciągną się wioseczki, i nakoniec od zachodu, w tępych końcu tego wielkiego trapezonu doliny, połyskują „Wielkie Wody,” za które bieleją na podnózu stepu domy „Głuchej Przystani” zamykając ten olbrzymi tępy trójkąt, na swęj południowej podstawie tauryckich brzegów zakreslony. Cała ta dolina pokryta ciemnymi lasami, poprzerynana majowemi pasmami gęstęj łozy i młodych wierzb, na świeżych zamiałach porastających, między którymi odsłaniają się małe polany, ścielą się obszerne ługi zielone i rozległe moczary, nieprzeniknione łąkami oczereu pokryte. I cały ten rozesłany kobierzec, zielonemi cieniami przesnuty, przeżyna w poprzek szeroka błękitna taśma majestatycznego Dniepru, nakrapiana mnogiemi wyspami, lamowana piaszczystemi odmiałami, i od której rozchodząca się w pławie splątana sieć utajonych przecieków, tu i owdzie wśród lasów, ługów zielonych i oczeretów, srebrnemi połyskuje wodami. Nie opisywać, lecz widzieć ten gobelin potrzeba.

Dolina ta ciągnie się w podłużnym kierunku od wschodu do zachodu, Dniepr zaś, poczynając z północnego jej rogu od Nikopola, opuszcza się w poprzek w południowo-zachodnim kierunku, potem wpierając całą szerokością swojego koryta w wysokie brzegi stepu pod Karadubyną, i zabrawszy tutaj powtórnie przypadającą doń Konkę, nagle zwraca ku zachodowi, pod kątem prawie prostym załamując, i omywając w dalszym ciągu już tylko zewnątrz południowy brzeg pławni. Idąc on tym sposobem, powierzchnią doliny rozdziela na dwie nierówne części, w kształcie dwóch trójkątów przedstawiające się, z których jeden zewnętrzny, o dwu równych prawie bokach, wznosząc się na południowej podstawie przecieku „Konki” przyległego od wschodu; drugi zaś trójkąt wewnętrzny rozarty, opisany z dwóch boków korytem Dniepru, a w podstawie mający łamaną linię północno-zachodnich stepów, zakresloną: Czertomłykiem, Podpolną, Bazawłukiem, domniemanym Herodota *Gerrose*m, i na koniec Wielkimi Wodami, stanowi obszerniejszą część pławni zachodnich. W ogólności, obliczając rozciągłość linii opisujących figurę tego nieregularnego trapezonu, którego głównymi punktami w pociętym północno-zachodnim kierunku będą: Nikopol, Hruszówka i Głucha-Przystań na Wielkich Wodach; ztąd zaś linią południową przez Uszkołkę, Karadubinę, przeciek Konki w rogu wschodnim, przypierający w pola wsi Wielkiej Znamionki, i na koniec zamknięty linią wschodnią od tej Znamionki do Nikopola, może zawierać do 800 wiorst kwadratowych powierzchni. Trzy gubernie mają w niej swój udział: chersońska, ekaterynosławska i taurycka wpierają tutaj swojemi kątami; wiele prywatnych i rządowych włości pożytkuje z jej darów, a najwięcej Baron Sztiglitz, którego los nieskąpo wydzielając, przeznaczył mu 50,000 dziesiatyn, to jest prawie cały trójkąt wewnętrzny, czyli, gdy nie mylimy się w rachunku, 480 wiorst kwadratowych przestrzeni.

I oto mamy przed sobą widok zewnętrzny sławnych „Ługów Nizowych,” rdzeni i jądra dziedzictwa Zaporozców: dzikie tło, dzikiego ich siedliska, które raz jeszcze w części przebyć mieliśmy. Wróciwszy tedy do chaty, znalazłem już Tryfona oczekującego na moje przybycie.

Przyjaciół jego Iwan Łoś, drugiem mianem Kirasirczuk, syn Zaporozca po rozgromie w kirasyery zapchanego, zgadzał się zawieźć mnie łodzią do Pokrowska, ale wprzód życzył osobiście zemną się poznać. Życzenie jego uznałem za słuszne, i natychmiast poszedłem złożyć uszanowanie we własnym jego domu. Chatka na końcu wsi, stoi na pagórku, schludnie bardzo utrzymana. Pan Łoś, chłop duży, długo-płowo-włosy, rybactwem trudniący się, ale i gospodarki nie zaniedbujący, bo za chatką stały w pełnym komplecie zabudowania gospodarskie, dostatnio stożkami w dobrym porządku ostawione, i był cienisty sadek, z błogosławionym roku tego plonem potężnych dul złocistych i rumianych jabłek, wesoło na drzewach wieku swego dochodzących. Familie tą razą na widowni domowego ogniska pana Łosia, składała stara matka, słusznego wzrostu, siwa kobieta, i średnich lat żona, powolna niewiastka, pod sterem świekruchy rządy domu sprawująca. Ponieważ obecność moja była tu widocznie konieczną dla autentycznego tylko zatwierdzenia umówionego rubla za 25 wiorst drogi, a słońce dobiegało już południa, więc nie było co długo gadać, i nie zabierając dłuższej znajomości, pan Łoś podjął z kąta wiosło na plecy, założył siekierę za pas, bo doświadczony rybak nie puszcza się bez niej w drogę, ja zaś z Tryfonem, pośpieszyłem tymczasem zabrać rzeczy i przenieść wprost na brzeg, gdzie miał już oczekiwać w zupełnej gotowości.

Jalik był z desek zrobiony, płaskodenny, dobrze smolą wylany i kłakami zakonopacony, niezmiernie lekki, wygodny i bezpieczny. Puściliśmy się lewym brzegiem w górę Dniepru, okalając zdala silny prąd rzeki w kolanie gdzie stał młyn i kędy przeciw wody niesposób byłoby podolać. Objechawszy tedy zdaleka młynek, przerzneliśmy dopiero w poprzek rzekę w górze jego, ku prawemu brzegowi na pławnie, trafiając prosto w przeciek pierwszy na naszej drodze, *Dniepryszcze* zwany.

Może zaudatno utrudzamy czytelnika szczegółową topografią siczowej miejscowości; zaudatno drobiazgowie fotografujemy jej rysy; ale jechaliśmy po to, żeby opowiedzieć to cośmy widzieli, co zrozumieć nam pozwolono...

Widzieliśmy już tedy ogólny zarys pławni zewnętrzny; rozpatrywaliśmy na wielkiej przestrzeni ich naturę z wielkiej drogi dniewrowskiej, lecz nie byliśmy jeszcze na jej manowcach.... Tutaj Łoś biegły statysta swęj krainy i niemniej znakomity herboryzator miejscowej flory, rozłożył przed nami kartę skrytych tajemnic, wykładał obszerny zasób swoich wiadomości, o których żaden jeszcze nie sły-szał professor.... Mieliliśmy przed sobą sić niezbadanych i niepojętych rzek, przecieków i rzeczek, pod rozmaitemi występujących nazwami, pod rozmaitem barwą i charakterem; oddzielających się od Dniepru i wnet napowrót wracających; płynących naprzeciw siebie jedna do drugiej, łączących i rozdzielających się zaraz, idących równoległe z sobą, a każdy przecię w innym kierunku, z odmienną myślą i z odrębnymi własnościami, ten na dół, ów w górę nurty swoje prowadzi.... Lecz patrzcie jakie natura wytwarza tu dziwy!

Dniepryszcze wprowadziło nas w pławnię; lecz zaraz w prawo oddzieliły się dwa *Boczki*, idąc lekko w górę głównego ścieku wód, jakby na przekorę ciężkiemu Dnieprowi, który tego nie dokaze; od *Boczków* poszły jeszcze *Boczeniata* i spławdrowawszy kawał pławni, wyżej swojego początku, wlały się w Dniepr napowrót, nieskończenie zatem w zaczarowanym kółku, wody swoje obracając. *Dniepryszcze* rozstawszy się z *Boczkami*, skrzyło raptem w lewo zamieniając się tu w *Rewun*: cichy, spokojny, bardzo umiarkowany, a zatem przez szyderstwo ryczącym przewzany. Płynąc tedy z wodą, po niejakiem czasie *Rewun* skrzyłając w prawo, wprowadził nas na bystrą, niesforną i głęboką *Temnę*, złośliwie zmuszając nas płynąć wiorst z dziesięć przeciw wody. Zawalona w poprzek powałami, utrudnia kierunek, a biedne wierzby podmywane, gwałtem wołają ratunku powyciągawszy ramiona i czepiając się brzegów resztką swoich niemocnych korzeni; gdy inne już obnażone z kory i życia, jak białe szkielety, z głębi wirujących czarnych nurtów, wyciągają skostniałe ręce i sterczące żebra. W zimie moc jej piekielna bardzo gorąca: Dniepr już stanie, lodem pokryty, a ona jeszcze płynie, aż para dymi. Ma 23 kolan, czyli raptowych zakrętów, wiele bocznych zatok i przesekłych

strumyków, z których życie wyssała, a mieszkają w niej wydry i ogromne summy leżą w jamach pospołu z karpiami; mnóstwo też trzyma się leszczy i szczupaków i innej wiele ryby, na którą umiejętni rybacy wszelkich dobierają sposobów. Straszno, jaka tam wiekuista wojna i zaciętość na dnie tajemnych nurtów zaległa.

Przerzynaliśmy wciąż ciemne lasy wierzbowe, podszyte z brzegów bujną osoką i rozmaitem wodnym zieliskiem, gęstemi splotami nad nurtem wód zwieszającemi się, a do wnętrza kryjówek dzikiego zwierza przejrzyć nie pozwalając. Z wielkim wreszcie trudem pokonawszy Temnę, wpłynęliśmy na obszerne macierzyste łono *Skarbnę*, rzeki cichłej, powolnej, poważnej i prostą drogą płynącej, malowniczo pełną roślinnością, festonami kwiatów i rozkosznymi wierzbami ubranęj, a która sama wychodząc z Podpolnej, niepokalanego żywota, tak wyrodną córkę Temnę zrodziła. Tutaj płynąc za bezpiecznym jej nurtem, swobodniejszy odetchnęli. Na całej przestrzeni nikogośmy nie spotykali: jakieś zwierzątko zaszeleściło po suchych gałęziach, i z parę czapli przeciągnęło nad lasem, bo zwierzę się ukrywa a ptastwo na odmiałach szerokiego Dniepru igrać lubi; zaś w początku nad Rewunem stała tylko ukryta w liściach chatka, w której mieszkał leśniczy *Wouk* i dalej w końcu Temnej siedział jeszcze *Bas*, którego wcale słyhać nie było. Nad Skarbną dopiero stanęły na brzegu ułożone sęgi rąbanych drzew i wyjrzał człowiek pierwszy, który w bliskości wypalał węgle na potrzeby ekonomiczne. Węgla wypalają tu po kilka tysięcy czetwerti rocznie i wielkie sprawiają w wierzbach zniszczenie. Jakoż lasy były tu już bardzo przerzedzone.

Skarbna pociągnęła na zachód do Wielkich-Wód, my zaś niebawem zwracając w prawo, wpłynęliśmy do *Rozkopanki*, małego przecieku, niby rówczak, z kądem posuwając się przeciw wody, trafiliśmy na *Ostup-rudenki*, idący przez błota i wodniste moczary, siedlisko kaczek w głębokich trawach tysiącami rojących się. Na dalszych moczarowych łąkach kilku kosarzy pokrowskich, kosiło sobie trawy, a my widocznie już zbliżaliśmy się do końca naszej drogi. Spójrzmy więc raz jeszcze po za siebie.

Droga to nie przetarta, ciemne gąszcze ją zasłaniają, a leżące w wodach powały, przecieki jęj tamują: droga to jednak sympatyczna, tchnąca aromatem świeżości, hojnie ręką wspaniałej Flory zasiana, która w porodnym sprzymierzeniu z Neptunicznymi wodami, uwiła tysiące barwistych wieńców, zawieszając na brzegach cudownymi festonami, lub krociami drobnego kwiecica i zieleni, krystaliczne nurty posypując. Tutaj rozłożyste wierzby pochylając się kłębami swoich konarów nad brzegami, w cieniach swoich skrywały nurty przecieków i ubierały malowniczo szerokich wód pejzaże. Rosła na brzegach gęsta łoża pospolita, z której nikt nie użytkuje, ale obok niej gęszczą się masy łoży czarnej, doskonałej na płoty, i długie też rosły cienkie wicie czerwonej szeluzyny, której nie brak piasku i błota grzęskiego, z której splatają wyborne kosze i bucze na ryby. Szeroko-lista pływająca łatatija, białolica wodnych kwiatów bogini, ze złotym rdzeniem po środku; wielkie białe kielichy wodnego powoju, na ucztach Neptunowych bogom zastawiane, i skromna biała i żółta lilia wodna, uczt tych znakomita uczestniczka, zdobiły brzegi cichego Rewunu, lub tuliły się w spokojne zabocza swarliwej Temnej. Rosły tu gęste łąny oczeretów, które na wiosnę wypalają, a po splecionych łożach i osokorach pną się w górę winogronowe sploty ciekłego chmielu z białymi kitami; pędzi za nimi w górę wielka osoka, która zeschnięta bezużytecznie na proch się rozciera; nie ustępuje jęj gruba kukotyńa, wyborna na opał, i gęsty ożynniki pokryty jagodami. Pleni się tutaj obficie pożyteczna mymra, albo moczår, „pasza perva” która w zimie tuczy chlewnię i ciepłe legowisko zapewnia; zielona imelkå dla paszy skuteczna i szeroki weh dla bydła szkodliwy, słodką trucizną upajający. Pięknie tam z zieleni wygląda zaliżniak, różowo kwitnący i dający hubkę doskonałą; barwi się wasyløk, strukaj, czokål, który pięknie kwitnie, mile pachnie i słodki miód wydaje, a rośnie na brzegach. Pływają zåjaczy-ższy, miły bardzo kwiatek dający; bieleje pobil; turkuła liściasta; bujna kropynwå parząca reumatyzmy, a w sianie za obrok konie tuczająca; mniåtka pachnąca, na żołądek dobra, i lubystok miodowy, i mårchwa zapelniająca ule aromatem i miodem. Hirczåk

na nic nie przydatny; krzewisty *szczawèl*, i rokoszny *chriń*, „szczo w oseni koniaka i skotyna z korinniam powyidá”. *Hawjáz* od łamania kości pomocny, i *rannyk* co leczy rany i boleści u każdej baby w zachowaniu, i przyjazna, czuła *niezabudka*, która każe kochać i pamiętać: *szylnyk* leczący od wściekliczny, i nieśmiertelna *pàprot*, zieleń dziewicza, symbol świadomości natury, której kwiatu nikt nie widział i nie ujął, a ujęty, samo piekło podałby w moc posiadacza... I wiele innych nieznaných ziół i kwiatów: białych, żółtych, różowych i amarantem, szafirem nakrapianych, lub fioletem barwiących się, rośnie tam na pławniach!...

Pluskają z wody ryby za muszką uganiające się i w Temnej zuchwałym grzbietem koło czółna się przesuwają. Obronne tu ich kryjówki, pożywne też dla nich tam muły, lecz zgubne oko rybaka wszędy zajrzy i osiągnie. Wie on gdzie jaka ryba, o której porze na nurty wychodzi a o której w jamach spoczywa. Dniepr nie posiada sławy rybnego Donu, ale na Niżu, w przeciekach pławniowych, wielkie jój mnóstwo pielęgnuje. Znakomity *Jesiotr-antakeos* scytyjski, Herodotowi osobiście znany: silny w grzbiecie, porohy przesadzający lecz choć powolny wód władca, najznakomitszą gra tu rolę; potworny *sum* głowiasty, żarłoczny antropofaga na tłustość przydatny; chyży *szczupak*, szkodliwy ryb wytępiacz, z obrazem narzędzi męki Chrystusowej w głowie; łagodny *karp* srebrno-luskaty, ikrą karmiący się; delikatny *sterlađ* przez smakoszków poszukiwany; *czeczuha*, *sudak*, *leszcz*, *podleszcz*, do rzędu większej ryby należące, które w zimie na pudy sprzedają świeżą, a latem solą, lub wędzą. Drobny: *okun*, *sekrety*, *gustera*, *biblica*, *krasnopiórka*, *lin* złocisty, *karas* wyborny, w beczki idzie; *hołownia*, *podrèdczyk*, rodzaj karpia; *jeżgarze*, *czesza*, podobna do śledzia; *bielizna* kościasta bardzo i *wiaż* smakowity niezmiernie, a mięso żółte jak cytryna mający; tudzież wiele drobniejszej ryby, obfite połowy dają, a przegrodziwszy wiosną płotem zacieki od rzek, po 800 leszczów jedna toń wyciąga.

Były też na pławniach tradycyjne tylko z czasów zaporozkich: łosie, niedźwiedzie, tudzież wydry, wilki, dziki i sarny, których zaledwo wytępione szczątki dotąd

jeszcze pozostały. I była moc wielka dzikiego ptastwa, która nietykalnie dotąd igra zawsze na dniewprowych przestworzach i ostrowach.

Łoś opowiadacz był tęsknym synem swobody, którą z duchem Zaporozców odziedziczył. Słyszając z głuchych wieści o zamierzonym ludu wyzwoleniu, czekał z utęsknieniem tego przedświtu innego żywota, wołając w głos: „Gdyby też choć na jeden dzień przed śmiercią doznać, co to jest swoboda!”... Nie lubił Niemców, którzy posiadli ziemię, ścieśnili ludowi użytkowanie z pławni, wzbronili wolne rybołówstwo, i który, w one zaporozkie czasy, mordowałby niezawodnie kolonistów za to jedynie, „jak śmiał Niemiec siadać na ich zaporozkiej ziemi!” Matka jego stara „trochę świata widziała”, pamięta Zaporozców i lubi o nich wiele rozprawiać. Żałowałem żeś wcześniej o tém nie wiedział.

Tak kończyliśmy nasze opowiadania, gdy pomijając kaczę moczary, z Ostupu-rudeńskiego wjechalismy nieznacznie w małeńki *Krutko*. *Krutko*, była to mała fantazyja pławniowa, a porastające nad nim łozy, pokazały do czego służą w tym labiryncie parku dzikiej natury. *Krutko*, kręta, jak wąż w wiją się między łozy, a tak wązka, że na każdym załamaniu łódź w poprzek zatrzymuje się; a potem zanurza się w prostym kierunku na kilkadziesiąt sążni w ciasny i niski tunel, tak szczelnie zasklepiiony łożą, iż zupełnie było ciemno, i tylko zdala przyświecało z przodu okienko do wyjścia. Tu już płynęliśmy leżąc w łodzi, i prawdziwie nie wiem, jak tam Łoś ją sterował; dopiero po jakimś czasie, nagle, jak z wykrzyknikiem, wpłynęliśmy na obszerne przestworze szybkiej, szerokiej i głębokiej *Sysyny*, z malowniczym widokiem na kąpiący się w przezroczu wód Pokrowsk, rozesłany ze swojemi sadami, chatami i panującą cerkwią, z zielonemi dachami, na miejscu „Ostatniego kosza Zaporozkiej Siczy”!

Rzeka *Podpolna*, właściwie *Pidpilna* u krajowców, zawsze dopełniając podpolnego swojego przeznaczenia, przychodząc tutaj ze wschodniego kąta, raptownym kolaniem zwraca ku północo-zachodowi, i okala tym sposobem w punkcie swojego załomu, wydatny półwysep „*Krasny-kut*” na którym leżą szczątki Siczy i stoi nowy Pokrowsk.

Sysyna zaś biorąc początek u tego kolana, w prostym kierunku płynie szeroko na południe, wnet uchodząc do Skarbněj, gdzie téż i Krut'ko swą historję i nazwę zatracą. Sicz więc nowa, tak samo jak i dawna, leżała także na półwyspie u zbiegu trzech nurtów, który przekopany w poprzek, mógłby z łatwością sformować wyspę na podobieństwo Siczy-starěj.

I oto po dwakroć przejrzelśmy w poprzek i na wskrós tę ulubioną rdzeń dziedziny zaporozkiéj, tę naturalną, nieprzystępną ich fortecę, dostatnio na długie lata zaopatrzoną w lasy, wody i pastwiska; rybami, zwierzem i ptactwem uposażoną, a w miód i mleko obfitującą. Lecz dla uzupełnienia statystyki niezmiernego systemu przecieków, istotną stanowiących charakterystykę rozpatrywanéj przez nas obecnie części zachodniéj pławni, oprócz wymienionych już wyżej przypływających rzek właściwych i przecieków, dodamy jeszcze niektóre po stronach drogi naszéj, znajdujące się. Z Podpolnéj zatem zanurza się w pławnie *Iskiwske*; *Iskiwskerodzi Brytan*; stronami téż idzie: *Wdwcze-hórło*; *Czortowawoda* gwałtowna, że czółno trzeba ciągnąć na lince; *Szàraj Prohndj*, *Perewàł*, *Moškòw-skiej Perewàł*, *Bòndarewa-jàma*, *Szachòwka*, *Dmytrykiwka*, *Orichowe-òzero*, gdzieś koło *Boczków* i *Boczeniat*; *Bystryk*, *Kisła*, *Raków-Ustup* i mnóstwo innych niepoliczonych, formujących wiele wysp i wysepek, z których: *Dziwiczka*, *Andruszczyna* i *Sergiejewska*, zacytowano. Sieć ta dziwnéj Neptunicznój potęgi, po równéj płaszczyźnie ale z odmiennym pędem i wstecznym kierunkiem, niciami swojemi krzyżująca się i płacząca, połączona oraz z niemniéj silną i oryginalną roślinnością plennéj Flory, umysł podróżnego prawdziwie zdumiewa.

